ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 40 3. X. 1936



w numerze:

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 40 3. X. 1936



L. CHRZANOWSKI

JEDYNY PROGRAM

Decyzja kanclerza Hitlera wprowadzenia dwuletniej służby wojskowej w III-ej Rzeszy jest więcej niż liczbowym wzmożeniem armji niemieckiej. Odsłania ona jeszcze raz ducha Niemiec hitlerowskich. Nie wszyscy go widzą, nie wszyscy chcą dostrzegać istotną tendencję polityki niemieckiej. A tymczasem Niemcy wiele mają do odzyskania, wiele pragną odzyskać, wiele chcą zdobyć!

Raz jest to równouprawnienie, później dozbrojenie, później Saara, Nadrenja, kolonje, wreszcie obrona ładu burżuazyjnego — krucjata antybolszewicka! Tyle pretekstów — a cel jeden: wzmaganie potęgi, wojna lub szantaż jej grozą!

Jakaż wobec podobnego nastawienia sąsiada, z którym mamy i pakt przyjaźni i serdeczną wzajemność winna być polityka Polski? Po jakiej linji musi i powinna iść międzynarodowa akcja Polski?

Niemcy są zmotoryzowane — my nie.

Niemcy są krajem uprzemysłowionym — my rolniczym.

Niemcy są państwem „totalnym" my mamy trochę... mniejszości. Niemcy liczą 70 miljonów, my podciągamy się pod 40-ci, ale jeszcze mamy parę lat przed sobą, nim do tej mety dociągniemy.

Jesteśmy więc mniej przygotowani, mniej liczni!

Aczkolwiek są wśród nas optymiści, co pewni są, iż od zachodniej strony nic nam nie grozi, to jednak w sytuacji jak powyższa zdrowy sens i prosta logika nakazuje nam uzupełniać nasze braki.

Braki siły mechanicznej—braki liczby!

Uzupełnić je mogą narody zaprzyjaźnione z nami. Wzmocnić nas mogą tylko mądre z rozsądku i serca płynące sojusze!

Liga Narodów zawiodła. Nie jako idea, myśl. Zawiodła jako siła, egzekutywa, solidarna organizacja. Nikt niestety nie może dziś liczyć na solidarną, powszechną pomoc!

Ale na pomoc niektórych liczyć można! Tę pomoc trzeba sobie zapewnić wzajem ją od siebie zapewniając!

Niema w tych naszych słowach nic nowego, niema żadnej rewelacji. Stara prawda, a jednak jak słabo realizowana!

Najważniejszy, pierwszy, naturalny sojusz zadokumentował niedawno swą moc i swe istnienie. Ale na to, aby upewnić się, że nie wygasł, że nie stał się spłowiałym listem miłosnym w ramce z nieśmiertelników, lecz że jest, że ocalał, że pozostał, że jest pełen wigoru, trzeba było światłej myśli i zdecydowanej woli Naczelnego Wodza Polski i wojskowego wodza Francji. Ich rozmowy były wyrazem woli obu narodów. Dlatego to ich rozmowy nie są tylko symbolami lecz mają wyraz czynów!

Ale są jeszcze inne sojusze. Pożądane. Wskazane. Niezbędne!

Rumunja. Jugosławja. Czechosłowacja — że mówić będziemy o najbliższych. W stosunkach z nimi nie mogą utrwalać się niedomówienia. Nie czas dziś na dąsy i kwasy. Wiemy, że niektórzy nasi domorośli dyplomaci, szczególniej ci z ekipy podróżniczo-lokarneńskiej nie raz, nie dwa dawali do zrozumienia, iż jesteśmy o tyle wyżsi, od „małych narodów"; wiemy, że często element niesłowiański polskiej dyplomacji lubił „dworować" z naszych „mniejszych" sojuszników. Wiemy również, że nasi sojusznicy czasami niezbyt gorąco, a nawet lojalnie zachowywali się w stosunku do naszych narodowych dezyderatów. Wiemy o tym. Ale to wszystko są sprawy dyplomatów, genewskich tricków, kawały rokowań. W obliczu dni jutrzejszych te kwestje maleją, nikną, są drobiazgowym pieniactwem starych przekupek!

Umacnianie sojuszy! Zabiegi o nowe sojusze najzupełniej możliwe i mądra w tym kierunku polityka — to nakaz dnia!

Wzmocnić się siłą pewnych przyjaciół — być uważanym przez narody bliskie za lojalnego, pewnego sojusznika oto program, oto taktyka, oto nakaz, który wykonany być musi.

Na dwuletnią służbę wojskową, na trzy zmiany u Kruppa, na motoryzację i autostrady odpowiadać winna siła wewnętrzna, nie siła biurokratyczna, lecz siła społeczna, obywatelska.

Odpowiedzieć mogą lojalnie, zwarte sojusze.

Kto ma pewnych sojuszników, ten lepiej będzie zrozumiany przez bliskiego i nawet życzliwego sąsiada.

PRASA Z CAŁEGO ŚWIATA

Liga storpedowana.

„Le Journal"

Omawiając decyzję Ligi Narodów, uznającą delegację abisyńską, co jak wiadomo spowodowała nieobecność Włoch w Genewie czołowy publicysta paryskiego *„Journal'a"* *Saint Brice* pisze: „Wszystkie usiłowania podjęte zostały storpedowane przez Litwinowa. Dlaczego? Poprostu dlatego, że Rosja nie może strawić projektu odnowienia Locarna, któreby wskrzesiło blok czterech państw zachodnich. Cóż to za atut dla Sowietów módz odrzucić Włochy poza nawias akcji międzynarodowej! podkreślić rozbieżności Londynu i Rzymu, odgrywać rolę szampjona Ligi Narodów, legalności i stanąć na czele małych państw. W istocie to było dobrze zagrane!"

Podkreślając dalej, że te intrygi Litwinowa spaliłyby na panewce gdyby Anglja i Francja były solidarne, Saint-Brice pisze: „Czyż było tak trudno oznajmić to, co jest czystą prawdą? Że politykę robi się nie formułkami lecz rzeczywistością. Największymi przeciwnikami Ligi Narodów są ci, którzy przez rygoryzm ryzykują wywołanie ruiny instytucji. Współpraca międzynarodowa i pokój nie mogą być zapewnione bez udziału Włoch. A udziału tego nie można osiągnąć bez uznania faktu dokonanego, który jest poprostu tylko epizodem historji kolonjalnej. Epizodem, jakich już było wiele. Anglja zachowała się inercyjnie, bo nie strawiła jeszcze afrontu jaki jej sprawił Mussolini. Francja milczała, bo jej minister spraw zagranicznych nie miał odwagi stanąć po stronie faszyzmu. Współpraca francusko - angielska zawiodła, bo za prędko sądzono, że sprawa została zalatwiona zgóry."

W tym samym duchu wypowiada się stateczny, zawsze pełen umiaru *„Journal des Debats"*

„Rosja Sowiecka — wywodzi dziennik paryski — uparcie przeprowadza swój plan, którego zadaniem jest przedłużenie niepokoju europejskiego. Wie ona, że Niemcy nie bardzo dbają o konferencję pięciu. Czynią więc wszystko ze swej strony aby utrzymać Europę rozbitą i aby istniało jaknajwięcej trudności, jaknajwięcej okazji konfliktów. Gdyby Liga Narodów chciała spełnić swój obowiązek, to zrozumiałaby, że istnieje hierarchja wśród zagadnień i że pierwszą sprawą nie jest kwestja Abisynji ale sprawa pokoju powszechnego."

Mowa Kanclerza Hitlera w Norymberdze była i jest jeszcze ciągle szeroko komentowana, rzymska *„Tribuna"* konstatuje: „Włochy i Niemcy, które nazewnątrz zdusiły destrukcyjną rewolucję i które rozpoczęły rewolucję konstrukcyjną, które odrodziły państwo, to znaczy ład wewnętrzny i które pragną odrodzić ład międzynarodowy zgodnie z duchem tradycyjnej cywilizacji europejskiej, są dziś powołane przez przeznaczenie aby stanąć oko w oko z bolszewizmem w całej Europie. Dwie rewolucje walczą obecnie ze sobą, które w danej chwili przeciwstawiają się sobie w różnych formach w granicach każdego kraju Europy, ale mogą one przerwać te granice i przeistoczyć się w konflikt międzynarodowy, inaczej mówiąc *w wojnę,* bez tego jednak żeby otwarta walka między obu systemami utraciła swój pierwotny charakter rewolucji."

PRAWDA moskiewska gwałtownie oczywiście występuje przeciw Norymberdze. „Ataki skierowane przez Führera i jego współpracowników na Sowiety, służą przedewszystkiem do zamaskowania. Niemcom rzeczywistości. Odezwa Führera odczytana pierwszego dnia na kongresie przekształciła się w mowę, zawierającą serję przygniatających wyznań dla faszystów. Cóż pozostaje bowiem ze słynnych „zapewnień pokojowych" kierowników polityki niemieckiej po stwierdzeniu, że Krupp dobrze przysłużył się odrodzeniu Niemiec? Nic, oprócz przyznania się do wyścigu zbrojeń. Chyba, że Krupp (ironizuje „Prawda") fabrykował zamiast armat i tanków wózki dziecinne i straszaki. Co pozostaje z obieranego „raju faszystowskiego" po zapewnieniu, że co się tyczy odżywiania odczuwać się będzie w przyszłości brak całej serji produktów? Pozostaje więc smutna perspektywa głodowania i niedożywiania się. Chyba, że naród niemiecki będzie się czuł bardziej nasycony, dowiadując się, że „znaczne wzmożenie produkcji rolnej jest niemożliwe" i że będzie się miało jeszcze mniej masła, jajek i mleka". W zakończeniu swej gwałtownej analizy pisząc o programie w zakresie polityki zagranicznej „Prawda" stwierdza „słyszeliśmy zdania znaczące, których sens wskazuje, że Niemcy nie zarzekają się swych pretensji kolonjalnych i będą zabiegały o utrzymanie kolonji. Agresywny charakter polityki niemieckiej zaznacza się równie wyraźnie, jak głodowanie i braki rzeczywistości niemieckiej".

Jak więc widzimy oba zbawcze reżymy wytykają sobie niemal te same błędy i braki. I tu i tam państwo dominuje, absolutnie rzadzi fabryką i zagonem, „pokojowo" kontynuuje wyścig zbrojeń, działa dyktatorsko i agresywnie.

PESTER LLOYD budapesztenski z mów w Norymberdze taki wyciągnął wniosek: „Naród potężny, jak Niemcy ze swymi 70 miljonowemi mieszkańcami, może bez niebezpieczeństwa pozwolić sobie na luksus zwalczania komunizmu w duchu nienawiści rasowej. Nie jest to możliwe dla Węgier słabych i okaleczonych przez pokój w Trianon. Nie mogłyby one podtrzymać walki gdy wybije godzina decydującej bitwy obronnej przeciw Moskwie, chyba żeby cały naród bez oglądania się na różnice socjalne i wyznaniowe wziął udział jak jeden człowiek we wspólnej akcji wszystkich narodów cywilizowanych przeciw władzy Moskwy".

DAILY MAIL — Londyn konkluduje:

„Od chwili wojny domowej w Hiszpanji, ludzie zdają sobie sprawę, nawet w Anglji, co za niebezpieczeństwo przedstawia bolszewizm i że to w Niemczech istnieje najpotężniejszy szaniec przeciw atakom komunistycznym. Można powiedzieć, że gdyby Niemcy nie istniały, trzebaby je stworzyć, gdyż Europie niezbędna jest potężna tama".

ŚWIĘTO TEATRU NARODOWEGO



Spiżowa postać twórcy teatru polskiego stanęła na piedestale przed Teatrem Narodowym.

Wojciech Bogusławski urodził się w r. 1757 we wsi Glinnie, pod Poznaniem, pobierał nauki w konwikcie Pijarów warszawskich. Jakiś czas służył w wojsku wreszcie poświęcił się scenie narodowej. Po raz pierwszy wystąpił w stolicy w r. 1778. Organizował teatr doznając opieki Stanisława Augusta. Wiele pisał dla sceny. Najgłówniejsze jego sztuki, to „Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale“ z muzyką Józefa Stefaniego i „Spazmy modne“. Sześćdziesiąt utworów scenicznych, oryginalnych, tłumaczonych i przerobionych wyszło w dwunastu tomach „Dzieł dramatycznych“. Umarł w Warszawie w r. 1829.

WOJCIECH BOGUSŁAWSKI

Teatr polski obchodził wielkie święto: wzniesiono pierwszy pomnik polskiego aktora. Wzniesiono pomnik Wojciecha Bogusławskiego. Wzniesiono pomnik człowieka, którego nazwano Ojcem Teatru Polskiego.

Bogusławski był jednak czymś więcej niż ojcem, który fizycznie daje życie. Bogusławski był wychowawcą polskiego stanu aktorskiego, a jednocześnie był wychowawcą publiczności.

Rozpatrując dziś olbrzymie zasługi tego człowieka, olbrzymie dzieło, jakie po sobie zostawił, trudno jest powiedzieć, co było najważniejsze w jego działalności, za co należy mu się największa wdzięczność.

Rewolucyjny aktor; zapalony bojowy dyrektor; reżyser doświadczony, poważny, pedagogiczny, wielostronny; autor, tłumacz i adaptator; administrator, nie idący po linji najmniejszego oporu. Dyrektor, co tanie gusta publiczności, chciał przeinaczyć i ku prawdziwej sztuce skierowywać, co zagrzewał artystów i iskrę zapału podsycał, aż wielkim płomieniem wybuchła. Patryjota, co sam działał i chciał aby dzieło jego stało się wielką bronią w walce o narodowe prawa.

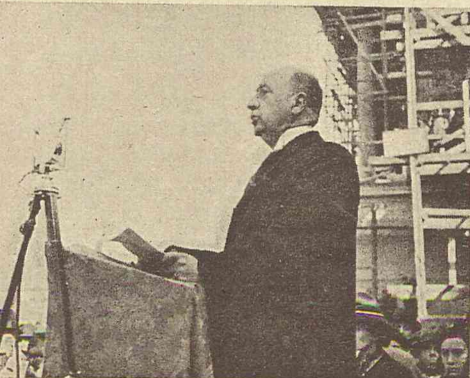
Tyle dziedzin pracy! Tyle sił poświęconych umiłowanej scenie — oto człowiek, co szedł od zawodu do zawodu, co walczył z intrygami, co nie ulegał, nawet przy pustej kasie, co wyzuty ze sceny poszedł na tułaczkę i wędrówkę po miastach, miasteczkach i zajazdach!

Dlatego to Bogusławski według nas nie jest litylko ojcem sceny polskiej — to jej budowniczy, świadomy, mądry, twórczy. Budowniczy nieustępliwy, zapalony, odważny, wznoszący wieżę Ad astra strzelającą: a nie dom dochodowy gustom najcodzienniejszym schlebiający.

W Bogusławskim zaklęty był w jego dziale, dziale teatru ten znicz narodowy, który jednym kazał szkoły zakładać, innym ze swej szkatuły na wojsko łożyć,



Odsłonięcie pomnika Wojciecha Bogusławskiego. (Fot. Jan Ryś).



Prezes ZASP-u, Józef Śliwicki wygłasza swe przemówienie.

jeszcze innym iść w bój, walczyć, zwyciężać, ginąć!

Czcząc dziś Bogusławskiego aktorstwo polskie, publiczność polska, władze państwowe składają hołd nietylko niezmordowanej pracy, talentowi, zasługom, spełnionemu dziełu! wszyscy składamy hołd *poslannictwu jakie na siebie wziął i spełnił Bogusławski.*

Bo siłą i twórczą zasługą Bogusławskiego było właśnie to, że pracę *swą pojął on jako najwyższe posłannictwo, misję artystyczną i narodową.*

W tym okresie walczyć o godność ludzką „komedjanta", któremu odmawiano „poświęconej ziemi", walczyć z *cudzoziemczyzną,* walczyć o język polski, o polskich autorów i sztuki, to było posłannictwo niebylejakie. Za ten ogrom pracy, energji, borykania się, nieustępliwości — za to posłannictwo właśnie składaliśmy hołd Bogusławskiemu. Bo ten mianowany w 1783 r. dyrektor sceny narodowej, był i jest upostaciowaniem najwyższych wzlotów teatru polskiego.

Nie oceniamy przeróbek i utworów scenicznych Bogusławskiego — pisał je, przerabiał i tłumaczył, *bo musiał* scenie dać sztuki do grania, więc nic dziwnego, że w tej dziedzinie z puścizny jego nie wiele zostało. „Krakowiacy i Górale" sztuka, wodewil czy opera, mniejsza z tym — to jedyny utwór, co przetrzymał jako tako czas. Ale wiemy dziś, jakie spełniła ona zadanie, z narodowego punktu widzenia. Wiemy, że po trzech przedstawieniach zakazana została przez cenzurę i wiemy również, że te trzy przedstawienia wystarczyły, aby piosenki i ich aluzje poszły w naród, poszły w ulice Warszawy i innych miast polskich.

„Krakowiacy i Górale" w przeróbce Jana Nepomucena Kamińskiego przetrwali do naszych czasów, inne autorskie prace Wojciecha Bogusławskiego nie przedstawiały większej wartości. Pisane były niejako z musu — nie przez autora, lecz przez dyrektora teatru.

Jest w sztuce W. Rapackiego „Bogusławski i jego scena" jeden moment niezwykle podniosły i odtwarzający istotne oblicze tego nieprawdopodobnego w swej pracy i zapale dyrektora. To scena za kulisami, gdy Bogusławski, mówiąc o grze Osińskiego swego przyjaciela i jednego z pierwszych aktorów, mówi o doskonaleniu się w sztuce aktorskiej. Przytacza on walory aktorów francuskich, niemieckich, włoskich — wskazuje co w ich ujęciu jest dobre i co złe. Co należy przystosować do *narodowego stylu polskiej gry,* a co winno się odrzucić.

Mówi o kunszcie techniki i o narodowych cechach, o konieczności doskonalenia się, a nie „małpowania" zalet innej sceny, mówi tak jak mówi świadomy artysta - apostoł, a rzesza wykonawców, towarzyszy aktorów słucha go z tchem zapartym, entuzjazmem, nabożeństwem. Ta scena przpomina i podkreśla jaki panował duch w tym zespole — jakie artystyczne zrozumienie między dyrektorem i aktorem.

Ta scena ilustruje najlepiej jak pojmował swe zadanie Wojciech Bogusławski i jak doceniali ten sposób kierownictwa istotnie oddani sztuce aktorzy. Dyskutowało się gesty, pojmowanie roli, opracowywało wśród życzliwej rady postacie i charaktery.

Tak pojmując teatr i rolę aktora można istotnie wychowywać publiczność. A publiczność kocha teatr, który wykazuje się przed nią umiłowaniem sztuki i aspiracjami artystycznymi. Miłość teatru i jego zrozumienie zaszczepiał publiczności polskiej stojąc nad kolebką sztuki teatralnej Wojciech Bogusławski. Słusznie więc, że ustami Ludwika Solskiego aktorstwo polskie złożyło jego pamięci uroczyste ślubowanie.

Wojciech Bogusławski jest symbolem, a jednocześnie i czynem epoki. Wspominamy dziś i czcimy walory jego: budowniczy, architekt, kierownik, autor, aktor, reżyser, dyrektor, tłumacz, nauczyciel i bojownik — oto czczony za zapał i posłannictwo swoje człowiek uznany za Ojca Teatru Polskiego.

Teatr Narodowy uczcił pamięć Wojciecha Bogusławskiego wystawieniem sztuki Wincentego Rapackiego (ojca). Reżyserował to widowisko Józef Śliwicki, który, nawiasem mówiąc, wielce się przyczynił do zrealizowania projektu pomnika Bogusławskiego; pewnych adaptacji w utworze Rapackiego dokonał Leon Schiller.

Całość widowiska miała charakter jak najbardziej stylowego przypomnienia epoki Bogusławskiego. Udało się to w znacznej mierze. Niektóre przebrzmiały tyrady miały i dziś swój rezonans dzięki dobrej recytacji i szlachetnej intonacji.

Urok starodawnych kostiumów, szpinetu, naiwności i lirycznego nastroju zawsze nas porusza, a czasem nawet wzrusza, pomimo motoryzacji życia i... serca. Świetny zespół aktorów przyczynił się znakomicie do znaczenia wieczoru. Śliwicki jako Stanisław August wydobył i podkreślił właściwy styl, przypominając się swą znakomitą dykcją i pięknym głosem. Węgrzyn, Brydziński, Stanisławski, Dominiak, Hnydziński, Łuszczewski, Chmielewski, Wyrzykowski, Loedl, Sulima, Pancewiczowa, Świerczewska, Barszczewska, Lubieńska — stanęli w zgodnym apelu, by uczcić tego co Teatr Narodowy tworzył, fundamenty dłań mocne budując.

Dr. St. N.



Ślubowanie Ludwika Solskiego. (Fot. Jan Ryś).

POŁÓW PEREŁ



Aktywność

Wszędzie marazm? Wszędzie plajty? Wszędzie kryzys? Wszędzie interesy zamierają?

Gdzietam! Pocieszmy się... Nie wszędzie.

Ogłoszona przez władze amerykańskie statystyka stwierdza, że w roku ubiegłym gangsterzy rozwinęli nader ożywioną i owocną działalność. Owocem jej było — pięć miljardów dolarów, które ... zmieniły właścicieli.

Na tę sumkę złożyło się coprawda przeszło 60 tysięcy napadów i rabunków, blisko 300 tysięcy włamań i przeszło miljon kradzieży innych rodzajów.

A mówi się, że tym ludziom „pieniądze spadają z nieba".

„Motoryzacja" — ale jakiego gatunku?

Po wieloletnich namysłach i stękaniach, po uprzedniem zarżnięciu motoryzacji Polski — dano jej nareszcie cokolwieczek odzipnąć. Oczywiście — minimalnie. Bo i benzyna jest jeszcze ciągle o wiele za droga — i właściwie żadnych ułatwień ten bohaterski pionier motoryzacji u nas dotąd nie ma.

A przedewszystkiem — poparcia udziela się oficjalnie i z zasady — tylko zabaweczkom. Wózeczkom spacerowym, miłym na podmiejskie wycieczki, ale — Gott bewahre — w razie wojny, nie mogącym odegrać najminimalniejszej nawet roli.

Wszystkie maszyny większe, wszystkie, które kosztują ponad 12 tysięcy złotych — nie dają właścicielowi prawa do żadnych ulg ani ułatwień.

Więcej nawet: jak obliczył ekonomista „Czasu" — ceny maszyn ośmiocylindrowych *wzrosły ostatnio ni mniej ni więcej, jak o... 50 procent!* Dzięki dowcipnemu obliczaniu cła, nastawionemu na *tępienie maszyn silnych.*

Cóż — popierajmy taniznę... Bawmy się w czasie pokoju dziecinnemi blaszaneczkami, czemu nie...

Ale gdy zagrzmią działa?

Czy panowie się nad tem trochę zastanowili?

Do czego jest?

Jasia: Mamusiu, czy to Bozia zsyła nam nasz chleb codzienny?

Mama: Tak, kochanie.

Jasia: A święty Mikołaj przysyła nam na Boże Narodzenie prezenty?

Mama: Naturalnie.

Jasia: A bocian przynosi małe dzieci?

Mama: Przecież dobrze wiesz...

Jasia: No to w takim razie jednego tylko nie rozumiem: do czego jest właściwie tatuś?

Nowe odznaki

Niema dwuch zdań: policja pilnująca w Polsce życia, mienia i jakiego takiego bezpieczeństwa szerokich rzesz obywateli — zasługuje na wszelkie nasze finansowe wysiłki. Broni ona ludzi uczciwych przed bandytami, broni pracujących przed anarchistami, broni całości Państwa przed rozkładem wewnętrznym. Obywatele chętnie ponoszą na jej rzecz ofiary — taksamo, jak na rzecz wojska. I napewno niktby się nie zdziwił, gdyby np. sprawiono wszystkim posterunkom policyjnym coś, czego nie mają: motocykle. Albo przodownikom wiejskim, zmuszonym do ciężkiej pracy we wszelką pogodę, gdyby uzupełniono umundurowanie, bo ja wiem, nieprzemakalnemi butami, czy płaszczami. To byłyby wydatki celowe.

Natomiast wydatkiem wątpliwym wydaje się zmiana odznak, oznaczających stopnie służbowe policji. Podobno zmiana ta kosztować będzie „na głowę" po złotówce. Niedużo, zgoda. Ale policjantów jest 32 tysiące. Czy tej sumy 32 tysięcy nie możnaby zużytkować roztropniej i pożyteczniej?

Czy nie byłoby np. lepiej postawić za te pieniądze chociażby jakiś dom letniskowy dla dzieci policjantów?

Znaczki, odznaki — owszem, ładna rzecz. Ale w naszych warunkach chyba nie jest to „artykuł pierwszej potrzeby".

Milczenie nie zawsze jest złotem

Przed wyjściem na miasto pani mówi do kucharki: „Niedługo przyniosą tu ze sklepu ptaka na obiad. Upieczesz go tak jak zwykle". (Pani bowiem zamówiła w sklepie kurczaka).

Ale pan — pragnąc żonę ucieszyć przysłał jej niespodzianie dawno upragnioną papugę. Kucharka zarzyna papugę i zgodnie z pani poleceniem — piecze. Pan po powrocie do domu rozpacza: „To straszne — to była wyjątkowa papuga — mówiła jedenastu językami"...

„To czemuż się nie odezwała?" — odpowiada żona, tonąc we łzach.

Pomysłowość

Stolica zaalarmowana została ostatnio (niezdementowanemi) pogłoskami, jakoby w poszukiwaniu pracy dla bezrobotnych jakiś pomysłowy dowcipniś uznał za wskazane dać bezrobotnym *klucze od domów w stolicy — i to właśnie na godziny nocne!* Ci bezrobotni mają spełniać funkcje dozorców domowych w nocy — i otwierać bramy powracającym mieszkańcom.

Jedno z dwojga: albo średniowieczny, barbarzyński, Moskwą o sto mil cuchnący zwyczaj otwierania bramy przez zaspanego anioła - stróża jest „niezbędny" dla bezpieczeństwa domów w Warszawie — (jak nam to dotąd do wierzenia podawano) — i wtedy *tylko* tym zaspanym i klnącym cerberom klucze do ręki dać można.

Albo też to otwieranie mojej własnej bramy do mojego własnego mieszkania przez cerbera jest tylko pretekstem do hara-

czu — a wtedy cerbery byłyby wogóle zbyteczne.

Ku temu wnioskowi skłaniałby poniekąd pomysł owego dowcipnisia...

Bo jakże to?

Jakie gwarancje dawać będzie mieszkańcom domu ów przygodny drab, który może pierwszy wraz z szajką kompanów, korzystając, że stróż śpi, pod osłoną nocy splądruje każde puste albo i nie puste mieszkanie?

Kto będzie szukał tego „wiatru w polu", gdy nadużyje swej szerokiej a prawem kaduka mu udzielonej władzy?

Proponujemy więc, kiedy już jesteśmy na drodze praktycznych pomysłów, następujące uzupełnienia:

Od pierwszego jako pomocnice nianiek i bon do dzieci muszą być przez każdą rodzinę zaangażowane rejestrowane prostytutki.

Od pierwszego w dni „wychodnie" służących państwo mają *obowiązkowo* przyjmować zastępczynie, rekrutujące się z nikomu bliżej nieznanych osób, na rozkaz Komitetu Zatrudnienia Elementów Podejrzanych. Tenże Komitet będzie w myśl własnego widzimisię nasyłał zastępców kasjerów i inkasentów dla firm prywatnych, oraz pomocników służby dozorczej przy kasetkach pancernych w bankach.

Słowem — gdzie trzeba ludzi wyjątkowo zaufanych, którymby można z zamkniętemi oczami oddać pieczę nad naszym dobytkiem — angażujmy pod przymusem nieznane włóczęgi.

Może to naprawdę będzie najlepszy system?

Punkt widzenia

W Ameryce przyaresztowano automobilistę za nadmierną szybkość. Młody sędzia bada surowo oskarżonego.

„Rzeczywiście, przyznaję się, jechałem na osiemdziesiąt — odpowiada szczerze automobilista. Ale panie sędzio — mam okoliczności łagodzące: ja ten samochód ukradłem i uciekałem przed goniącą mnie policją"...

„Ach — tak — sędzia na to. To zupełnie zmienia postać rzeczy. Sprawa jest załatwiona."

Sport murzyński

Niedawno, z racji smutnej pamięci Olimpjady berlińskiej, zaznaczaliśmy w „Świecie" ogromną przewagę, jaką wykazali zawodnicy murzyńscy nad „białymi", zwłaszcza w biegach i skokach. Wyraziliśmy wtedy pogląd, że właściwie nie są to zawodnicy z białymi równorzędni, gdyż ich sprawność fizyczna uwarunkowana jest niezmiernie niskim poziomem kulturalnym. W tych organizmach działają tylko mięśnie — podczas gdy europejczyk, amerykanin rasy białej, hindus, japończyk czy chińczyk — mają za sobą wieki kultury, setki pokoleń myślących — a więc olbrzymi handicap mózgowy.

Uważano nam poniekąd za złe, że *„murzynów nie uznajemy za ludzi równych białym"*. Odezwały się takie głosy wśród naszych czytelników. Że pochodziły one od osób niedość praktycznie stykających się ze sportem — i że pogląd nasz był słuszny, dowodzą obecnie fakty.

Okazuje się, że badania lekarskie sportowców w Stanach Zjednoczonych wykazały niezbicie, iż możliwości rekordowe „czarnych" są wprost fantastyczne. Przekraczają one znacznie to wszystko, co „biały brat" w danej dziedzinie wyczynić potrafi. Stwierdzono, że rekord w skoku wzwyż murzyna Johnsona na 203 cm jest dla białego człowieka nieosiągalny. Natomiast dzicy czarni mieszkańcy niektórych wysp w okolicy Sumatry skaczą sobie jakby nigdy nic — aż 215 cm!

Co z tego wynika? Oto praktyczni Amerykanie natychmiast rzucili się „kupować" zawodników czarnych z tych wysp — no i potem jako amerykańscy obywatele będą oni „biegać" w barwach Wuja Sama. W Tokio Stany Zjednoczone wystawią napewno drużynę skoczków niepokonalnych — *ale będzie to drużyna całkowicie czarna...*



Nielojalny ten system ma być zwalczany zwłaszcza przez Francję. Delegat Francji do międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego ma złożyć protest przeciwko tego rodzaju sztuczkom — i słusznie domagać się będzie, aby ludy pierwotne nie były dopuszczane na start z białymi. Niech sobie ustalają własne rekordy — uznane dla czarnej rasy. Zostawmyż im przynajmniej tę wyższość...

„Planowa gospodarka"

Nie o tej państwowej chcę mówić. Ma ona ustaloną aż nazbyt złą famę. Poco wywoływać wilka z lasu?

Mowa będzie o racjonalnej gospodarce — we własnym domu. Przy kuchni.

Jest w Warszawie niezmiernie cenna i zbyt mało znana instytucja, mianowicie Państwowa Szkoła Pracy Domowej. Dokształca ona w zakresie umiejętności gospodarskich dziewczęta ze szkół powszechnych. Czegoż one nie umieją...

Proszę państwa, zaimponowało mi jedno: *cały obiad za 35 groszy!* Był na ten obiad smaczny krupnik, jaja sadzone, szpinak, młode kartofle i kisiel żórawinowy.

„Za jedne 35 groszy"...

Nie wiemy nawet, jak w Polsce jest *przerażająco* tanio. Nie wiedzą o tem przedewszystkiem... panie domu. Kiedy ktoś z moich znajomych, wyjeżdżając ze wsi na miesiąc, zostawił służącej na życie à discrétion mleka, kartofli, jarzyn, opału, i ponadto na zakup reszty prowiantów przeznaczył dla niej dziennie 70 groszy — bardzo zacna, ale wysoce niepraktyczna pani z sąsiedztwa odezwała się zgorszona: „Przecież ta dziewczyna umrze z głodu! Ona nie ma co jeść".

Okazuje się jednak najdobitniej, że można, *kupując wszystkie* produkty za pieniądze, nie mając nic zadarmo — ugotować obiad z trzech obfitych dań — za 35 groszy.

Rewelacja. Ale ściśle skontrolowana prawda.

Uparty Nurek.

WŁODZIMIERZ ŁUKASIK.

IDEOLOGJA

— Proszę panów, rozpoczął swe przemówienie prezes, otwierając posiedzenie naczelnej Rady stronnictwa, co była niemal radą gabinetową — zebraliśmy się tu dzisiaj, żeby dokonać szeregu ważnych posunięć w dziedzinie naszej polityki wewnętrznej. Dotkliwy kryzys zaufania, gnębiący społeczeństwo od dłuższego czasu, mocno przerzedził nasze szeregi. Dusimy się w atmosferze wyczekiwania. Nikt nie jest pewny, co jutro przyniesie. Jedynem wyjściem z sytuacji, jak mi się wydaje, byłoby stworzenie potężnej i jednolitej organizacji, opartej na wspólnej platformie ideologicznej.

Wszyscy zdajemy sobie doskonale sprawę z dotychczasowych wyników naszej akcji. Próbowaliśmy różnych sposobów, ale żaden z nich nie dał pożądanego rezultatu. Musimy przeto wymyśleć nową ideologję, nowe hasła i cele. Proszę więc panów o wypowiedzenie się w tej materji.

Gromkie oklaski nagrodziły wnikliwą i pełną zrozumienia sytuacji mowę prezesa.

Następnie zabrał głos człowiek czynu, jeden z byłych ministrów spraw wewnętrznych.

— Drodzy panowie, rozpoczął świetny mówca i polityk, jestem z racji mego stanowiska, najbardziej powołany do wyrażania opinji o planie pana prezesa. Musimy być przedewszystkiem silni wewnętrznie. Konsolidacja społeczeństwa winna iść po linji zjednoczenia wszystkich partyj politycznych, bez względu na zapatrywania. Zorganizujmy masy pod hasłem — frontem do narodu. Specjalnie wyłoniona komisja, wespół z ministerstwem propagandy, opracuje szczegółowy plan kampanji reklamowej: radjo, wzmianki w prasie, plakaty na mieście i t. d. Ręczę wam, panowie, że po trzech latach bezustannego trąbienia tylko głuchoniemi nie będą znali na pamięć naszego sloganu. Proszę sobie tylko przypomnieć, jakie sukcesy odniosła dobrze pomyślana propaganda w kwestji zużytkowania energji cieplnej słońca. Wszyscy pamiętamy przecież olbrzymie afisze z napisem: Słońce grzeje tanio i oszczędnie, dzięki którym zmniejszył się popyt na węgiel, a wielu bezrobotnych miało zapewnione ciepło i światło przez całe lato.

— Niezupełnie podzielam zdanie kolegi, odezwał się były minister oświaty. Reklama — owszem, umiejętnie stosowana zawsze daje dobre wyniki, stanowczo jednak oponuję przeciw tworzeniu nowej ideologji pod hasłem—frontem do narodu. Czy szanowny kolega zapomniał, że identyczną zasadę głosili i głoszą nasi przeciwnicy z drugiej strony barykady. Nie możemy popełniać plagjatu, musimy dać koncepcję nawskroś oryginalną, wszechstronnie opracowaną. Proponuję więc rozpisanie konkursu z nagrodami. Pierwsza nagroda — stanowisko viceministra oświaty, dalsze to stanowiska kuratorów na okręgi szkolne oraz szereg mniejszych premij w postaci posad wojewodów i starostów. W ten sposób najszersze masy zostaną wciągnięte do pracy dla państwa, a nam nikt nie będzie mógł zarzucić forsowania własnej idei.

— Nie mogę się, niestety, zgodzić na żaden z przedstawionych tutaj planów, rzekł jeden z działaczy wojskowych. Obaj moi przedmówcy, zbyt liberalnie odnoszą się do ingerencji społeczeństwa w sprawy polityki wewnętrznej. Jestem zdania, że jedynie mocne i zdecydowane posunięcia mogą być tutaj brane pod uwagę. Rządzić — to znaczy rozkazywać. Ideologję naszą musi reprezentować nie hasło, lecz człowiek. Trzeba wysunąć jednostkę, któraby potrafiła skupić w sobie autorytet władzy i pociągnąć serca wszystkich obywateli. Jeśli nie będą chcieli — potrafimy ich do tego zmusić. W wojsku i we wszystkich urzędach państwowych zostanie odczytany przed frontem rozkaz, polecający czcić, kochać i szanować naszego człowieka-ideę. Winni nieprzestrzegania powyższego zostaną pociągnięci do odpowiedzialności aż do wydalenia z wojska, czy też utraty posady włącznie. Mamy w rękach siłę i potrafimy ją odpowiednio użyć, kiedy chodzi o stworzenie przyszłej potęgi państwa.

Długo jeszcze przemawiali znakomici politycy. Coraz to inne pomysły sypały się jak z rękawa. Idea krzepła, dojrzewała, olbrzymiała. Roznamiętnieni dyskusją panowie żywo gestykulowali, jakby pragnąc ruchami dodać wagi słowom. Nastrój stawał się coraz gorętszy, podniecenie rosło.

Wysiłki prezesa szły w kierunku ograniczenia przemówień do meritum sprawy. Nie na wiele się to jednak przydało. Każdy usiłował powiedzieć wszystko, co mu od lat leżało na sercu, wykorzystać chwilę, która być może więcej się już nie powtórzy.

Najostrzej przemawiał niedoszły minister rolnictwa, gwałtownie atakując dotychczasową politykę rządu w kwestji przysposobienia wojskowego dzieci chłopskich do lat dziesięciu. W pewnym momencie mówca, jakby chcąc zaskoczyć słuchaczów, przerwał nagle wpół słowa i nieruchomo zatrzymał wzrok na drzwiach, prowadzących z sali obrad na kurytarz.

W drzwiach stał niski człowiek, biało ubrany i spokojnie spoglądał na rozpalone twarze działaczy.

— Przepraszam bardzo, rzekł przybyły, ale pan doktór prosi pana prezesa na małą konferencję.

Szef obrad flegmatycznie zebrał rorzucone przed nim na stole papiery, poczem wstał i z ponurą miną skierował się ku wyjściu.

Biało ubrany człowiek towarzyszył prezesowi aż do końca długiego pasażu. Kiedy obaj znaleźli się przed drzwiami z napisem: Dyżurny lekarz, biały człowiek zapukał i, nie czekając na odpowiedź, wszedł pierwszy, anonsując przybycie prezesa.

Z głębi mrocznego pokoju kroczył na spotkanie prezesa krępy jegomość w ciemnych rogowych okularach.

— Drogi panie, rzekł, chwytając go mocno za rękę, drogi panie prezesie, powtórzył, co panowie znów tam wyrabiacie?!

— Jakto co, oburzył się przybyły, czy pan dyrektor nie rozumie?! Bawimy się w posiedzenie rady gabinetowej. Ważna dyskusja nad istotnemi zagadnieniami polityki wewnętrznej!

— Rozumiem, oczywiście rozumiem, powiedział łagodnie le-

karz, ale wasze posiedzenia są zbyt hałaśliwe. Całe sanatorjum postawiliście na nogi. Pańscy towarzysze z innych oddziałów chcą spać, tak przecież nie można, nie wypada...

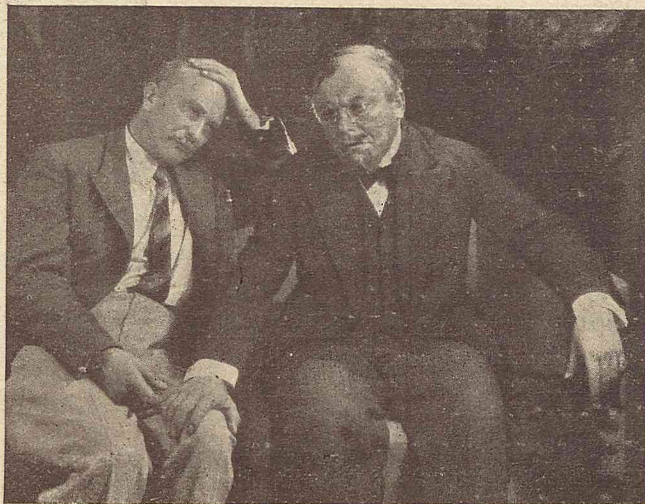
— Ależ doktorze, to są sprawy państwowe, sprawy wielkiej wagi, jesteśmy w trudnej sytuacji i szukamy wyjścia.

— No dobrze, zaczął lekarz z innej beczki, zgadzam się z tem, że sytuacja jest wyjątkowa, ale czy pan sądzi, że wprowadzenie w życie waszych projektów, polepszy istniejący stan rzeczy?

— Doktorze, powiedział prezes, uśmiechając się kącikiem ust, niech pan nie miesza dwu różnych problemów. Mówić to my możemy dużo, ale wprowadzać w życie... Tacy warjaci jeszcze nie jesteśmy.

ŚWIAT TEATRU

Teatr Mały. „Ryk byłego lwa", komedja Br. Winawera. Reżyserja Wiercińskiego.



Dwaj „pojedynkowicze" Kurnakowicz i Grolicki.

Łagodna melancholijna filozofja, sentymentalizm w najlepszym gatunku, otoczony czatami ironji, pobłażliwe spojrzenie na życie i prześwietlająca ludzkie ułomności złośliwość, oto elementy każdej sztuki Winawera. Z paradoksu sytuacji wyprowadza on djalogi swą logicznością, przyciskając do muru absurdu wiele rzekomych zasad i prawd życiowych.

Takim jest Winawer zawsze. Filozof, ironista i człowiek wyrozumiały łączą się w tym, przodującym w dowcipie polskim autorze tak ściśle, że zacierają się granice tych trzech usposobień, tych trzech zasadniczych tonacji, każdej sztuki Winawera. Tak jest i w „Ryku byłego lwa".

Pojedynek. Czy może być głupsze załatwienie sprawy honorowej? Na przykład takiej, jak przyprawienie rogów mężowi - donżuanowi. Zdradzony rogacz przedzierzga się w myśliwego, tylko miast szesnastki czy dwunastki chwyta za pistolet lub dobywa pałasza i z pistoletu chybia, a w „zwarciu" na białą broń sam dostaje po łapie! Rogi zostają. Faktu, że szanowna magnifika w cudzej sypialni przeżyła to i owo, nie wymazuje się. „In flagranti" nie zaciera się. Corpus delicti znany jest całemu miastu, ale honor jest spokojny i odzyskany, bo rogaczowi oprócz sterczących symbolicznych rogów jeszcze łapa na temblaku zwisa.

Wydrwienie tego rodzaju rycerskości, to temat stworzony dla Winawera. Aby dodać pikanterji swej drwinie, Winawer wysyła na metę dwuch zasobnych w lata i przeszłość panów, aby likwidowali carus z przed 25-ciu lat! Urocza grzechu przyczyna z pączka róży przeistoczyła się w mochoła dawną różę strzegącego, adonis lśni łysiną, a pokrzywdzony mąż brzuchaty teraźniejszością zamordował tryumfującego donżuana! Tym to zbiedzonym resztkom każe Winawer przelewać krew, by zniewagę zmazać i skalany tem honor rodzinny oczyścić.

Wyśmianie chińszczyzny paragrafów kodeksu pojedynkowego przeprowadza Winawer z konsekwencją i zapałem. Potęguje to sytuację, iż każe on z braku czasu wyzywającego załatwiać wszystko wyzwanemu: sekundantów dla obu stron, doktora, broń i t. p. Pomysł postawienia na mecie dwuch starszych panów, eks-przyjaciół najbliższych, aby „spłacili dług honorowy" za przewinienie z przed 25-ciu lat jest winawerowskim pomysłem par excellence. Pewna melancholijna nutka o samotności, kroczącej w miarę lat obok człowieka i wzrastającej wraz z dystansem czasu — kiedy przyjaciół ubywa, a nie przybywa, jest tym zamyśleniem w cichy wieczór uspakajający na samotny gabinet pracy ludzi, nie pragnących łokciem i kułakiem bronić się przed nadchodzącymi spychaczami.

Różnorodność elementów, stanowiących składową część komedji Winawera: sentyment i drwina, filozoficzny podkład żartu i farsowość sytuacji stwarzają wielką trudność dla reżyserji. Uchwycenie właściwego tonu i tempa nie jest łatwe. Nic dziwnego, że w „Ryku byłego lwa" widzimy chwiejność i niezdecydowanie reżyserji. Rozumiejąc głębsze intencje autora, doceniając subtelność niektórych powiedzeń, reżyser i aktorzy poszli po linji sentymentalnej komedji, po linji akcentowania myśli autora. Ten system zawiódł. Ryk byłego lwa — trzeba grać jak farsę, w tempie zawrotnym (odrabiamy 25 lat!), trzeba uwypuklać komizm sytuacji i na to kłaść największy nacisk. Dowcip i ironja autora same wyjdą na wierzch właśnie w takim tempie. Zagrane w rozwlekłym tempie, komedjowym utopiło zalety i dowcip djaloga, przeinaczając doskonałą literacką farsę w sentymentalną bylejaką komedję. To był błąd reżyserji. Ten błąd można i trzeba jeszcze naprawić, należy to się Winawerowi. Z grona artystów tylko Kurnakowicz uchwycił właściwy ton, Grolicki stał się rozlazły i nudny — a przecież wiemy, że ten zdolny artysta może być inny — Wasiutyńska szczęśliwie pokonała staccata swej poprzedniej dykcji, nie

pohamowała natomiast ruchów nazbyt kanciastych. Nie wszystkie dziewczęta moderne muszą być ciągle lekkoatletkami. Rolę swą potraktowała inteligentnie, a w ostatnim momencie lirycznym miała dużo ciepła. Woskowski dał dobry, choć nieco monotonny epizodzik; Munclingrowa nazbyt była „przeszłością" — 25 lat w życiu zalotnej kobiety, to bardzo wiele, ale przy nowoczesnym kunszcie, to jeszcze nie znika. Kreczmar staranny.

L. Ch.

TEATR NOWY: „Sprawy Rodzinne" komedja w 3-ch aktach Gertrudy Jannigs. Reżyserja St. Wysockiej. Przekład Julji Rylskiej.

Sprawy rodzinne. Cudze sprawy rodzinne są tematem miłym niejednemu autorowi. Kłótnie pod „rodzinną lampą" zawiści i rywalizacje, czasem powracający więzień, czasem szuler lub fałszerz, to temat coraz bardziej standartyzujący się. Atmosfera familijna, aczkolwiek do wzlotów twórczych nie nadaje się, jednak stała się ulubioną kanwą twórczości literackiej. W powieści, dramacie, komedji — od kolebki, aż do IV-ej bramy powązkowskiej, czy tej na Bródnie bohaterowie przeżywają swe przeciwności i wzloty, a czytelnik czy widz z niemi. Literatura naogół pierze obecnie bieliznę. Teatr nie chce być w tyle.

„Sprawy rodzinne" to melodramacik poziomy. Dzieje się w nim bardzo mało. Mamy zato typ władczy matki rodu, decyduje ona o wszystkiem co dotyczy życia nawet jej dorosłych dzieci.



„Stół familijny" — Łuszczewski, Halska, Chmielewski, Wysocka, Miedzińska, Krzymuska.



St. Wysocka i J. Węgrzyn.

Wyznacza skalę ofiar finansowych, sposoby godzenia młodych małżonków — jest wszystkiem. Wydaje się, że to ona kojarzy małżeństwa, zapobiega rozwodom, reguluje urodzenia. Typ życiowo istniejący. Egzemplarz matryjarchatu. Coś pośredniego między Herodem — Aniołem Stróżem — Kurcewiczową — a Cudzoziemką.

Ten typ ujęła w swe ręce Stanisława Wysocka, dając arcydzieło wykonania. Jej mimika, gaśnięcie twarzy, załamywanie się lub rozjaśnianie tkliwością macierzyńską były wzruszające i głębokie. Wielka aktorka tchnęła w rolę swą ducha i subtelność wysokiej próby. Wraz z nią Węgrzyn, jako syn-przestępca stworzył postać pulsującą życiem i naturalnością. Ten świetny duet decydował o całym wieczorze. Gra tej pary artystów, jak i całego zespołu okupywały wartości wniesione przez autora.

Z pozostałych bardzo naturalny, żywy typ dała Halska. Rzetelnie brutalny był Chmielewski. Wyrzykowski i Świerczewska wyglądali nieźle w swych „naiwnych" rolach. Łuszczewski staranny — miłą, subtelną sylwetkę naszkicowała Milakówna. Krzymuska jak zwykle doskonała w grotesce.

Otwarcie sezonu w Konserwatorjum Warszawskiem

Sezon w Konserwatorjum Warszawskiem zainaugurowany będzie koncertem Henryka Sztompki, który d. 3 października wystąpi z recitalem fortepianowym. Świetny pianista wykona program, w którym znajdą się utwory: Beethovena, Schumanna, Chopina, Szymanowskiego, Debussy'ego i Ravela. Zapowiedź recitalu Sztompki wzbudziła jak najżywsze zainteresowanie w stolicy.



ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

Nowy radca poselstwa polskiego w Danji, Kazimierz Zim, przyjeżdża do Kopenhagi i nawiązuje znajomości ze sferami dyplomatycznemi. Na przyjęciu u posła francuskiego poznaje sekretarkę poselstwa Z. S. R. R., uroczą Ninę Fermor. Nazajutrz spotyka nową znajomą w Muzeum Narodowem, wychodzą razem i idą do parku.

— Pan jest — jezuita.

— Jestem wyznawcą Jezusa, ale to nie to samo.

— A powiedział pan pierwsze zdanie jak komunista.

— Co to ma jedno do drugiego! Jeszcze jedno pokolenie i u was będą jezuici. Komunizm jest tyle wart co każda inna doktryna, kapitalistyczna, anarchistyczna czy partjarchalna. Prawdą jest tylko dociekanie do stwarzania się człowieka przez wielkie, ogromne C.

— Podoba się panu Kopenhaga?

— Jeszcze jej nie znam. Mnie zresztą wszędzie interesuje przedewszystkiem — człowiek, mniej trotuary i kanalizacja.

— Człowiek. Hm. Zwierzyniec na wolności.

— Myli się pani. Ja nie patrzę na powłokę, tylko zaglądam w duszę. I czytam jej historję. Ale co pani może o tem wiedzieć. Wy jesteście — materjaliści.

— Kto — wy?

— System, który panią wychował.

— Czy ja jestem źle wychowana?

— Ma pani rodziców?

— Matkę.

— Matka pani była inaczej wychowana.

— Każde pokolenie jest inne.

— I jest pani szczęśliwa?

— Ja — dociekam.

Uśmiechnęła się przekornie.

— To pani już jest prawie mądra. Kocha pani co?

— O, tak. Ojczyznę. Świat. Matkę. Muzykę. Człowieka, który ma muzykę w duszy.

— Blondyn?

— Tak.

— Tam?

— Nie, tu.

— Ale, że to pani, taka młodziutka, już jest sekretarką.

— Drugą.

— No, no...

— Kobiety wcześniej dojrzewają.

— Gdyby nas tu spotkał ktoś z pani poselstwa, pewnoby byłby nie kontent, że pani rozmawia z radcą poselstwa polskiego — prywatnie.

— Przecież nasze kraje łączą doskonałe stosunki. A my jesteśmy — ludzie wolni.

— Opowiadają inaczej.

— Ach, czego o nas nie mówią! O mnie naprz. chodzą wersje, że mnie tu przysłali dla wywiadu i że poseł specjalnie w tym celu lansuje mnie w towarzystwie.

Zaśmiała się ślicznie — mezzo-sopranem.

Kazimierz powtórzył jej śmiech. Śmieli się długo, każde z czego innego, ale dziwnie unisono.

Była już pierwsza.

— Mam dziś śniadanie o wpół do drugiej z paru kolegami. Przepraszam, ale czas na mnie. A pani?

— Wstąpię jeszcze do kościoła.

— Do kościoła?

— Lubię zwiedzać kościoły, ale nie protestanckie, tylko katolickie. Miewają piękne nastroje.

— Myślałem już, że na nabożeństwo.

— Też bywam. Przecież pan sam powiedział, że jeszcze jedno pokolenie...

———

Attaché poselstwa Jan Doria zaprosił Zima na śniadanie do hotelu d'Angleterre. Kazimierz zjawił się punktualnie, Doria czekał już na niego w holu.

Zim obiecywał sobie, że się dowie od młodszego kolegi, który siedział już tu od dwóch lat, wielu ciekawych rzeczy. Doria znów chciał pozyskać sobie nowego, starszego kolegę.

Zamówił już przedtem wyszukane menu, by zadziwić gościa wytwornością swego gustu, stolik nieco ustronny, na galeryjce, otaczającej salę, by można było spokojnie rozmawiać.

Doria jest młodszy od Zima o dwanaście lat i uchodzi za bardzo zdolnego, ale nikt nigdy nie mógł powiedzieć, co on właściwie takiego zrobił, żeby sobie zasłużyć na opinię szalenie zdolnego dyplomaty. Zim miał wrażenie, że ktoś opowiadał mu, w Warszawie jeszcze, historję Dorji. Tak, tak. Ojciec jego nazywał się Landy. Nie był słowianinem. Mieszkał w Paryżu dla interesów. Ożeniony był jednak z polką rasową. Jako urodzony w Białymstoku przyjął w roku 1918-ym obywatelstwo polskie wraz z całą rodziną. Stać go też było na to, by syn został dyplomatą.

Doria był bardzo przystojny, i gdyby nie pewien błysk w oczach, który nieomylnie wskazywał, że przodkowie jego nie byli pewni siebie, bo zajmowali się pożyczaniem na procent, mógłby uchodzić za rzymianina z przedmieścia. Był przesadny w ubraniu i perfumował się.

Zim zlustrował go.

— *J'admire vos élégances.*

Doria wziął to za dobrą monetę.

Woźny w poselstwie nazywał Dorię panem hrabią. Kelner mówił do niego — Herr Graeve.

Zim uśmiechał się pobłażliwie.

Doria nie mógł wyjść z podziwu, że Zim każdej potrawy brał tylko pół porcji.

Z przygotowanych przez Zima pytań i nawiązań rozmowy na tematy, które go interesowały, nic nie wychodziło.

Bo Doria gadał bez przerwy.

Mówił ciągle o sobie. Że w uniwersytecie wszyscy profesorowie mieli go za genjusza, że ojciec jego używa tylko końcowej części nazwiska, a on tylko początkowej, które w całości brzmi Doria-Pamphili-Landi. Jest to patrycjuszowska rodzina z Genui, która posiada autentyczne dokumenty rodowe od roku 1335-go.

— Ale dlaczego pan się tytułuje hrabią, — powiada spokojnie Zim, — skoro rodzina ta, o ile mi wiadomo, ma tytuł książęcy.

Doria sponsowiał. Nie oczekiwał, żeby taki Zim znał almanach Gotajski.

Trzeba było ratować sytuację.

— Tak, moi przodkowie używali tytułu i *Duca* i *Principe*, ale i *Marchese*, ale mieli też i odpowiednie dobra — *Torriglia, San Stefano, Val di Taro, Bardi, Campiano.* Ja pochodzę z linji mniej bogatej, zresztą w tej naszej demokratycznej Polsce tytuł hrabiowski jeszcze jakoś jest tolerowany, ale książęcy — wzbudzałby może zbyt wiele zazdrości.

Zim połknął spory kawałek homara, żeby ratować wyraz twarzy, która gotowa była niepochlebnie choć obrazowo odpowiedzieć Dorji.

— To pan dlatego pisze Doria przez *i*, że pan chce zaakcentować pochodzenie italskie.

— Oczywiście. Ja bardzo kocham Polskę, ale trudno, sześć wieków mojej historji związało mnie z Rzymem.

Recytował historję Pamphilów bez zająknienia. Piękna to była historja, ale tak długa, że wystarczyła do czarnej kawy włącznie, a była tak wypełniona sensacjami, że Zim, który szalenie lubił blagierów, bo bawili go najskuteczniej, słuchał z zajęciem.

Pomimo to Doria był jednak stropiony, a w miarę, jak Zim coraz pilniej słuchał, a nawet wypytywał o szczegóły, Doria nabierał nieodpartego przekonania, iż kolega nie wierzy mu.

Zaczął go nienawidzieć, a gdy się już żegnali i Zim powiedział mu, że dawno nie spędził czasu przy śniadaniu tak interesująco, Doria poczuł się zdecydowanym wrogiem pana radcy.

Zim mieszkał jeszcze w hotelu *Phoenix*, a idąc teraz ulicą *Bredgade* myślał, że gdy dla rewanżu będzie musiał zaprosić kiedyś na obiad Dorię, to już nie zaryzykuje wyłączności jego towarzystwa, lecz załatwi jednocześnie parę innych grzeczności.

Awram Wolfowicz Konspirin zadzwonił. Po chwili wszedł do gabinetu szesnastoletni ładny chłopiec w czerwonej *rubaszce* wyszywanej biało, włosy przydługie opadały mu na skroń z lewej strony. Wyraz bezczelności złagodzony był jasnym kolorem całej twarzy.

— Wam, towarzyszu ministrze, kto potrzebny?

— Nina Aleksandrowna.

— Dobrze. Jest. Zaraz przyjdzie.

Konspirin jest zadowolony z siebie, a głównie z tego, że jest wogóle stuprocentowy. Stuprocentowy Kon, stuprocentowy konspirator, stuprocentowy komunista, najrewolucyjniejszy, najintegralniejszy, najbardziej Marxowy, Leninowy, zawsze z większością, raz na prawo, raz na lewo, prawdziwy symbol permanentnej rewolucji. Ojciec jego był faktorem w Dubnie. On obalił carat.

Gdy Nina Fermor weszła — stała się rzecz dziwna. Dotąd, siedząc w pięknym fotelu, przy wspaniałem biurku, na którem stały trzy aparaty telefoniczne, wewnętrzny, miejski i krajowy oraz cała baterja guzików od najrozmaitszych sygnałów elektrycznych, Konspirin był kimś. Zażywny, łysy, z groźnym marsem na czole, binokle na tasiemce jedwabnej, postać wcale, wcale, nawet teatralna, energiczna, interesująca, minister, komisarz, poseł, — i naraz to wszystko stało się zerem, gdy weszła Nina Fermor. Imperatorowa i wiernopoddany mniejszościowiec. Kontrast był tak kolosalny, rażący i groteskowy, że jedno i drugie nie mogło tego nie czuć.

— Siadajcie, towarzyszko.

Ani spojrzał na nią.

Ale za to Nina sztyletem swego spojrzenia trafiła go pomiędzy oczy, u nasady nosa, i zmusiła go do podniesienia głowy.

Czego nie było w tem spojrzeniu!

Musiał to Awram Wolfowicz dobrze wiedzieć.

— Tak byłem zajęty przez ostatni tydzień tą przeklętą konferencją światową, którą zdecydowano zwołać właśnie tu, wbrew pierwotnym planom odbycia jej w Hadze, że nie miałem chwili wolnej, by porozmawiać z Wami, towarzyszko.

— Przecież wzywacie mnie, towarzyszu pośle, po parę razy na dzień.

— Oczywiście, w sprawach bieżących, kancelaryjnych. Ale mnie interesują — — — wiecie towarzyszko — — —

— Wiem.

— No, co tam nowego?

— Przyjechał nowy radca poselstwa polskiego.

— Mam jego bilet. Nie zastał mnie. Jakiż on?

— Bardzo szczery.

— To ostrożnie z nim, towarzyszko. Dyplomata, wygłaszający zdania niby szczere, przyznający się do różnych opinji mniej lub więcej oryginalnych, jest najniebezpieczniejszy. Szczególniej jeżeli udaje, że jest w niejakiej opozycji do swego rządu. To są jednostki najzręczniejsze, najprzebieglejsze. Komedjanci. Grają na naiwność i sugerują to czego niema. Mydlą oczy, zyskują sympatję, zawsze wygrywają. Nigdy niewiadomo, kiedy mówią prawdę, a kiedy kłamią. Ostrożnie, towarzyszko, ale trzeba z nim dużo rozmawiać, gdy go spotykacie.

— Dobrze, towarzyszu ministrze.

— A co on tak mówił wogóle?

— On, zdaje się, będzie dobrze z nuncjuszem.

— Z czego to wnosicie?

— Katolik.

— No, to jeszcze nie racja. A co o nas mówi?

(D. c. n.)

Z ANEGDOT AUTENTYCZNYCH

Żelazny medyk, jedna z najpopularniejszych postaci Krakowa, końca XIX i początku XX wieku, Stanisław Szyszka — po koleżeńskiej bibce powracał do domu przez Rynek. Ówczesny prezydent miasta, Leo, przeforsował swój pomysł zabrukowania kamienną kostką gładko i nowocześnie całego Rynku. Pomysł prezydenta rozpętał żywą polemikę w prasie. Większość mieszkańców Krakowa była przeciwna zmianie historycznego bruku Rynku na nowoczesną kostkę. Mimo to zmianę postanowiono przeprowadzić i zwieziono pierwszy stos kostki na Rynku blisko „hauptwachy".

Tę to piramidę z kamieni „żelazny medyk" obrał sobie za postument, z którego zaczął wygłaszać dowcipne przemówienie przeciw-kostkowe.

Zgromadziła się wokół niego dość liczna garstka nocnych przechodniów, która wybuchami śmiechu ściągnęła policjanta, zaintrygowanego hałasem w ciszy nocnej Krakowa.

Policjantowi, jak każdemu prawowitemu krakowianinowi, Staszek Szyszka nie był obcy. Dobrotliwie zaczął radzić „panu doktorowi", (jak zawsze tytułowano żelaznego medyka) aby dobrowolnie przerwał przemówienie i nie zmuszał władzy do oficjalnego przeciw niemu wystąpienia.

Nagle Szyszka przestał mówić i zaczął rozrzucać kamienie, tak misternie ułożone w pokaźną piramidę.

— Niech pan nie rozrzuca kamieni, bo pana zaaresztuję! — zagroził policjant.

Szyszka z potulną miną powiedział:

— Ach mój Boże, co za pech! Wyobraź pan sobie: spadł mi cwiker (binokle) między kamienie. Teraz nic nie widzę.

Policjant zaczął usłużnie odrzucać z piramidy kostkę po kostce, a pomagali mu w tem ochotnicy spośród gapiów.

Tymczasem ten, który spowodował te dziwne manipulacje policjanta na czele przygodnych nocnych przechodniów — ulotnił się niepostrzeżenie.

Ranek zastał Rynek Krakowski zawalony porozrzucanemi kamieniami. A żołnierze, mający wartę w „furdygarni" dziwili się, że policjant nietylko nie ukrócił wybryków przechodniów, ale sam był prowodyrem tego zakłócenia porządku.

PODZIAŁ MILIONA

Chociaż losowanie miliona odbywa się trzy razy do roku, moment ten jest zawsze oczekiwany z najwyższym napięciem przez wszystkich, interesujących się grą loteryjną. —

Podobne zainteresowanie panowało też w ubiegły poniedziałek, a sala ciągnień Generalnej Dyrekcji Loterii Państwowej wypełniła się po brzegi. Gdy śród ciszy rozległ się głos:

— Numer 17385 wygrał dwieście złotych —

— a więc najmniejszą wygranę, stało się ogólnie wiadomem, że numerowi temu przypadł milion złotych. Oczywiście ciekawość wzmogła się jeszcze, teraz jednak przybrała formę pytania:

— Kto są ci szczęśliwcy, którym się uśmiechnęła fortuna?

Odpowiedź na to pytanie znajdują czytelnicy poniżej:



Pani Helena Dreszerowa, zamieszkała w Warszawie przy ulicy Hożej 16, gra na Loterii Państwowej od dłuższego czasu. Dotychczas niebardzo sprzyjało jej szczęście, ale jednorazowe powodzenie jest tak duże, iż pozwoli jej zapomnieć raz nazawsze o wszelkich troskach dnia powszedniego, jakkolwiek na ćwiartkę tę grało oprócz p. Dreszerowej kilku wspólników.



Właścicielem drugiej ćwiartki jest p. Matuszewicz, pracownik jednej z większych firm węglowych, zamieszkały również w Warszawie. Wygrana była dla p. M. tak wielką niespodzianką, że nie umiał sformułować swych projektów na przyszłość.

Pozostałe wreszcie dwie ćwiartki są w posiadaniu pani Osuchowskiej (ul. Krucza 20) i dra S., mieszkańców stolicy.

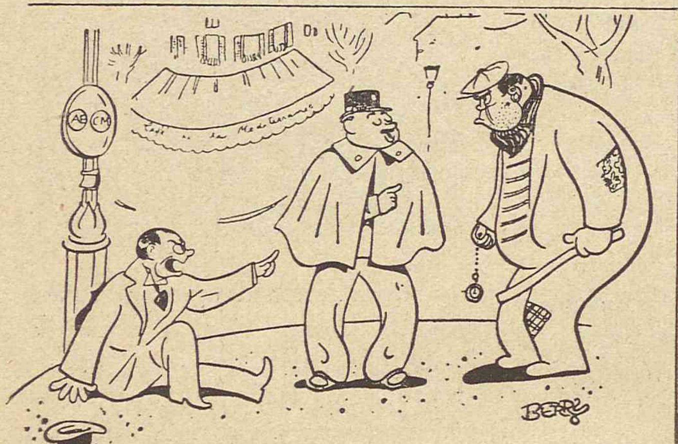
Nowym „miljonerom" Generalna Dyrekcja Loterii Państwowej wypłaciła wygraną czekami na Bank Gospodarstwa Krajowego, gdzie też sumy te zostały zdeponowane.

Warszawa wogóle miała dnia tego szczęście, gdyż prócz miljona, padła w jednej z mniejszych kolektur stołecznych większa wygrana 50.000 zł. na numer 81317. —

Na ciągnieniu poniedziałkowym zakończyła się trzydziesta szósta Loteria Państwowa. Kandydaci na przyszłych milionerów mogą się już zaopatrywać w losy do pierwszej klasy trzydziestej siódmej Loterii.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE!

WĄTPLIWOŚĆ



— Policjant: — No, a teraz niechno mi pan poda swoją wersję tego incydentu... *(Gringoire).*

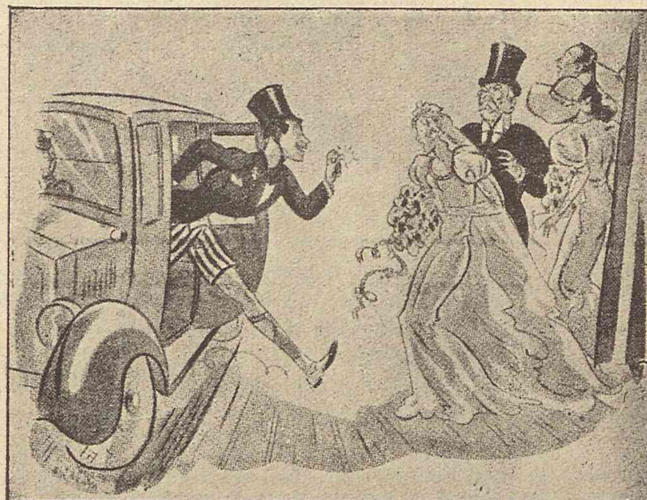


PRAWDZIWY PECH



— Mam już tylko ćwiartki 533043 i 127148.
— O, to fatalnie... Jasnowidz mi bardzo doradzał numer 1731/5...

ROZTARGNIONY



— No widzisz, ukochana, że nie zapomniałem obrączki! *(New-Yorker).*



WYDAWCA–ZNAWCA



— Więc co pan myśli o tej powieści?
— Pomysł niezły, panie dyrektorze — ale trzebaby conajmniej Balzaca, żeby ten pomysł odpowiednio zrealizował.
— Cóż, do djabła, na co pan czeka? Czemu się pan do niego nie zwraca? *(Gringoire).*

„JA LUBIĘ GENRE ANGIELSKI"

KRÓLEWSKA MODA

Rozmowa na pierwszym powakacyjnym fajfie jakoś się nie kleiła. Po gruntownem skrytykowaniu pogody, po zreferowaniu kto z kim i kiedy, po stwierdzeniu ustalonej listy ostatnich sensacji matrymonjalnych — między zebranemi licznie paniami zawisła w powietrzu melancholijna nuda. Uprzejma pani domu zręcznie podsunęła nieśmiertelny temat: modę.

Starszy wytworny pan ożywił się nagle i rzekł do swej sąsiadki: „Ja lubię genre angielski — a pani?"

— Ja też bardzo — odpowiedziała bez wahania, dodając w myśli uzupełnienie — że dziś już nie nazywamy tego „genrem angielskim", tylko stylem sportowym. I, że żadnej kobiecie nowoczesnej nie wolno tego stylu nie lubić. Bo jakżeby się miała ubrać od rana do wczesnego popołudnia? Cóżby miała włożyć w podróży, zarówno koleją jak samochodem? W jakimże stroju załatwiałaby swoje sprawunki i interesy na mieście? W jakim pracowałaby w biurze, szkole, redakcji czy banku? Czemby jednem słowem mogła zastąpić styl sportowy wszędzie tam, gdzie ubranie powinno mieć cztery zalety: prostoty, dyskrecji, wygody i celowości?

— Ja też — nawet bardzo — powtórzyła w zamyśleniu. I dodała, przypomniawszy sobie czasy dość odległe: lubię ten styl nie od dzisiaj, i nawet nie od lat dziesięciu, kiedy go pod postacią popularnej „garsonki" narzuciła światu sprytna paryska właścicielka domu mody — Madame Coco Chanel. Lubię ten styl od lat najmłodszych, „uprawiałam" go czynnie, kiedy jeszcze nie był modny — czego dowodem zabawne przejścia, jakie mnie w związku z mojem pionierstwem spotkały w swoim czasie w Paryżu.

„Jak to było? Czyż można mieć na tle mody jakieś „przejścia?"

— Naturalnie. Każdy pionier jest zawsze czemś w rodzaju apostoła. A każdy apostoł przygotowany być musi i na pewien odcień męczeństwa. Oczywiście zakres tego martirium nie będzie w tym wypadku bardzo szeroki — bo i dziedzina ta nie stwarza podstaw do wielkich cierpień. Ale drobne nieprzyjemności zdarzają się i tutaj.

„Więc jak to było?"

— Więc było tak: na rok przed wojną były ogólnie noszone, jak pan sobie może przypomina, olbrzymie kapelusze. Im większy— tem szykowniejszy. Średnica 75 centymetrów nikogo nie przerażała — kobiety przypinały sobie zgrabnie te olbrzymie tace długiemi szpilkami do obficie wypostiszowanych główek — lawirowały zręcznie na wietrze, dokazywały cudów, znalazłszy się w tłumie — (bo jakże tu nie zawadzić sąsiedniego, równie bezceremonjalnego, ronda?) — słowem męczyły się z wdziękiem — tak jak to one potrafią.

„To prawda — potwierdził z przekonaniem starszy pan. — Podziwiam zawsze tę skłonność pań do poświęceń. Znam uroczą kobietę, która nienawidzi zimna, najchętniej nosiłaby futro i wełniane pończochy latem i zimą — ale w trzaskające mrozem zimowe wieczory, ubrana w jedną warstwę cienkiego jedwabiu — bawi się doskonale i nie czuje podbiegunowej temperatury. Wyjaśniła mi to kiedyś w przystępie szczerości tak: „Ja wprawdzie przepadam za ciepłem, ale mi nigdy nie jest zimno w takiej sukni, w której wiem, że ładnie wyglądam". Wobec takiego argumentu — cóż znaczy termometr, hygiena — i nasza ciężka, męska logika?"

— No widzi pan. Wszystkie pokolenia kobiet od stworzenia świata popełniały właśnie przez całe życie takie ciche bohaterstwa. Przed wojną, jak mówiłam — trzeba było dla dogodzenia Pani Modzie wprawiać się w sztuki ekwilibrystyczne na własnej głowie. I wszystkie kobiety robiły to z zachwytem. Ja jedna nie.

„Dlaczego?"

— Bo uważałam przedewszystkiem, że ta moda jest bardzo brzydka. Nosiło się wtedy suknie empirowe, wąziutkie, spętane, bardzo długie, dokładnie oblepione na figurze. Na czubku tej prościutkiej egipskiej statuetki kaprys modystki umieszczał olbrzymią płaszczyznę — przez co całość sylwetki wyglądała zawsze jak potwornych rozmiarów grzyb, albo otwarty parasol. Pozatem niewygoda tych kapeluszy przekraczała wogóle mój skromny zakres wytrzymałości. Więc się zbuntowałam. I nigdy takiego koła młyńskiego na głowę nie włożyłam. A niech się panu nie zdaje, że w Paryżu jest rzeczą łatwą wyłamanie się spod ogólnie obowiązującej mody! Przedewszystkiem przy poszukiwaniu kapeluszy rozmiarów rozsądnych natrafiałam stale na wzgardliwą odpowiedź: „*Mais ça ne se fait pas...*" Umyśliłam sobie bowiem, że do podróżnego płaszcza szarego „w stylu angielskim" — muszę mieć kapelusz-czapkę też z materjału, z małą przylegającą główką stebnowaną i maleńkiem wywiniętem rondem. Taki typowy kapelusz sportowy męski albo dziecięcy. Panie wtedy o takich wogóle nie śmiały marzyć. Kiedy mnie już dziesiąta zrzędu modystka poinformowała, że tego niema, bo „to się nie robi" — machnęłam ręką i weszłam do składu kapeluszy męskich. Tu djalog potoczył się rzeczowo. Objaśniwszy sprzedającemu, o jaki kapelusz sportowy mi chodzi, ujrzałam na ladzie



W Anglji z racji przygotowań do koronacji Edwarda VIII zapanowały w modzie prądy ściśle „konjunkturalno - królewskie". Na naszem zdjęciu — elegantka londyńska ubrana w ostatni model wieczorowej c a p e z gronostajów, wzorowanej na płaszczu monarchy.

odrazu kilkanaście egzemplarzy tego właśnie, czego od dni kilku napróżno poszukiwałam. Sprzedający zauważył tylko: „Szkoda, że ten pan nie przyszedł osobiście... Chyba, że pani przyniosła dokładną objętość jego głowy, to będzie można jakoś dobrać".

— Głowę ma pan przed sobą— odpowiedziałam łagodnie. Dobierzemy napewno bardzo łatwo. Ja to kupuję dla siebie.

Paryski subjekt bywa przyzwyczajony do wszelkich dziwactw. Ale wówczas — w roku 1912 — kobiety nie nosiły jeszcze spodni, ani męskich pyjam. Sporty nie równouprawniły jeszcze wtedy kobiety w zakresie stroju — a kapelusz męski na głowie damskiej wydawał się czemś równie cudacznem, jak fajka w zębach, palona na trotuarach Avenue de l'Opéra przez elegancką damę.

Sprzedający więc — na chwilę oniemiał. Poczem, ostrożnie: „Ale pani wie, że to jest magazyn kapeluszy męskich? — To pani nie przeszkadza?"

— Przeciwnie — to mi bardzo dogadza. Proszę o ten właśnie szary tweedowy kapelusik — będzie świetnie harmonizował z moim płaszczem.

Westchnął—przyjrzał mi się—poczem à contre-coeur, z przyzwyczajenia i tresury dodał: „Jednak w tem jest pani nawet dość do twarzy".

I wyszłam ze sklepu w męskim kapeluszu na głowie.

Spotykane na ulicy kobiety przyglądały mi się uważnie, z pewnem dyskretnem zdziwieniem. Zastanawiały się najwidoczniej: to musi być nowa moda? Ale znacznie ostrzej zareagowały „elementy", którychby nikt o taką wrażliwość nie posądził: paryscy *gavroches,* kilku- i kilkunastoletnie chłopaki, których nagle ujrzałam koło siebie całą gromadę. Szli za mną o parę metrów, tworząc świetny i niesforny orszak i w takt miarowych kroków przyśpiewywali: *„Chapeau d'homme! Chapeau d'homme! Chapeau d'homme!"*

Wyznam, że ta nieoczekiwana eskorta speszyła mnie cokolwiek. Nie było moim zamiarem ani wywoływanie zbiegowiska, ani staranie się o tak hałaśliwe dowody zainteresowania. Przebolałam to jednak. Mężnie szłam jeszcze jakieś kilkaset metrów — poczem wsiadłam do taxi i wróciłam do domu.

„No i co? Już pani nigdy więcej tego nieszczęsnego kapelusza nie włożyła?" — zapytał starszy pan.

— E, to mnie pan nie zna! Nosiłam go stale — i dziwiłam się nawet, jak prędko przestał wywoływać sensację. Przecież Paryż jest miastem olbrzymiem. I żaden ulicznik dzielnicy łacińskiej, gdzie mieszkałam, nie informował o moim kapeluszu żadnego ulicznika z Wielkich Bulwarów, ani Champs Élysées. Mimo to ten niewinny maleńki kapelusik, który w pierwszych dniach wywoływał zbiegowiska w każdej dzielnicy Paryża — po kilkunastu dniach przestał zwracać na siebie uwagę. Na czem to polega — nie wiem. Ale stwierdziłam to niejednokrotnie, nietylko na tym przykładzie, że każda rzecz w modzie nowa uchodzi za ekscentryczność przez czas bardzo krótki. Niebawem oko ludzkie, obyte już z tym widokiem—przestaje nań reagować wrogo. A wkrótce potem — vox populi zaczyna już głosić, że to jest bardzo ładne.

„Czy tak było i z pani kapeluszem?"

— Prawie. W pierwszych dniach liczne moje znajome — same studentki Sorbony, a więc osoby obdarzone dużym zapasem *je m'en fiche'izmu* — niechętnie pokazywały się razem ze mną na ulicy. Potem — tolerowały już moje niezwykłe nakrycie głowy. Po paru tygodniach — zaczęły mi go zazdrościć, jako że uznały, iż jest rzeczywiście niebywale wygodne. A kiedy po wakacyjnej podróży wróciłam na nowy semestr do Paryża — ujrzałam ze zdumieniem, że „mój kapelusz"... przyjął się. W parę lat potem w garderobie każdej kobiety musiał figurować przynajmniej jeden taki sportowy kapelusik. Każdej w nim było „do twarzy" — każdej w nim było wygodnie. I żadna sobie nie wyobrażała, że taki najskromniejszy na świecie *couvre-chef* wogóle mógłby kogoś gorszyć.

„Jaki z tego wniosek, proszę pani?"

— Czyż musi być zaraz wniosek? Ale można i tak, jeśli pan chce koniecznie. Wniosek mógłby być tylko taki: że zarówno w dziedzinie estetyki, jak obyczajów, a nawet cnoty i grzechu — kanony są rzeczą umowną, zależną od klimatu, pory roku, szerokości geograficznej, a nawet pory dnia. George Sand uchodziła za kobietę zepsutą dlatego tylko, że dla swej wygody zamiast krynoliny i falban nosiła męskie ubranie...

„Przyzna pani, że nietylko dlatego".

— Dobrze — przyznam — ale to męskie ubranie było właśnie „kamieniem obrazy" dla tłumu. Dziś narciarka, lekkoatletka, taterniczka czy lotniczka niczyjej moralności nie obraża, gdy paraduje w spodniach. Pani Sand była więc pionierką — tylko, że jej

Z żałobnej karty



Ś. † P.
Edward Borkowski

Śmierć nieubłagana wyrwała znów spośród nas człowieka pełnego inicjatywy, sił twórczych i niezmordowanej pracy. Ofiarą tego wroga życia ludzkiego stał się ś. p. Edward Borkowski niestrudzony pracownik i pionier polskiego przemysłu elektrotechnicznego. Zmarły był prezesem i założycielem S. A. Zakładów Elektrotechnicznych „Bracia Borkowscy" oraz członkiem rady nadzorczej Polskich Zakładów Philips S. A.

Zmarły przemysłowiec urodził się w 1876 r. Lata swe młodzieńcze poświęcił pracy w przemyśle cukrowniczym b. Królestwa Polskiego. W 1907 r. wespół ze swymi braćmi powołał do życia placówkę elektrotechniczną i handlową p. f. „Bracia Borkowscy".

W 1910 r. z Jego inicjatywy powstała w Pruszkowie pierwsza fabryka sprzętu elektrotechnicznego pod firmą „T. Schmidt i S-ka". Fabrykę tę w rok po jej założeniu przejęła firma „Bracia Borkowscy" i w 1912 r. po pożarze przeniosła ją, jako placówkę czysto polską, do Warszawy, co było zapoczątkowaniem obecnej fabryki elektrotechnicznej.

W 1923 r. ś. p. Edward Borkowski był jednym z głównych inicjatorów założenia Polskich Zakładów Philips, w której do końca życia piastował stanowisko członka rady nadzorczej. Zdając sobie jasno sprawę z doniosłości organizacji w życiu przemysłowym, pełnił funkcje członka rady Polskiego Związku Przedsiębiorstw Elektrotechnicznych.

Za zasługi położone na polu prac nad rozwojem polskiego przemysłu elektrotechnicznego ś. p. E. Borkowski został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

Zamknął do snu wiecznego znużone nieustającą pracą całego Jego tak pożytecznego żywota powieki, dn. 23.IX. r. b., okrywając ciężką żałobą serca osieroconej rodziny i pogrążając w szczerym smutku szerokie koła naszego społeczeństwa.

Pokój Mu wieczny.

OD REDAKCJI

Wobec uszkodzenia w ostatniej chwili 2-ch kolumn — zmuszeni byliśmy artykuł p. t. „Jak żyją ludzie północy" wycofać, odkładając go do następnego numeru.

ŁOWICKI NUMER „ZIEMI"

Wyszedł z druku numer „Ziemi", organu Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, poświęcony Łowiczowi i ziemi łowickiej w związku z obchodzonym w r. b. 800-leciem Łowicza. Podwójny ten numer (7 — 8, lipiec — sierpień) zawiera interesujący artykuł T. Gumińskiego o dziejach herbu miasta, stylizującego pelikana, źródłowe omówienie rozwoju terytorjalnego księstwa łowickiego przez znanego historyka Łowicza M. Małuszyńskiego, który zamieszcza również ciekawe szczegóły o najstarszym kronikarzu Łowicza Cebrowskim. P. Jerzy Chyczewski kreśli mało dotychczas omawiane dzieje kulturalno - artystycznych wpływów Łowicza, jako pośrednika pomiędzy Poznaniem i Mazowszem, nieznane dokumenty i fakty z życia Józefa Chełmońskiego publikuje zamiłowany badacz Łowicza p. Jan Wegner oraz szerzej omawia podłowickie rezydencje: Nieborów i Arkadję — historyk sztuki p. M. Szymański.

poglądy wymagały prawie całego stulecia na zaaklimatyzowanie się. Mój niewinny kapelusz widocznie „wisiał w powietrzu" — a zdjęcie go z tego imaginacyjnego haka i włożenie na głowę było nieuniknione. Nie wywołało też tak srogich reakcji, jak te, które spotykają np. kobiety muzułmanki, gdy ośmielą się w obecności mężczyzn odsłonić twarz.

„Wie pani, że ten zakaz już w ostatnich latach uległ znacznemu złagodzeniu. I może za lat parę będziemy ze zdziwieniem czytali zabawną książkę Herminji zur Mühlen, w której opisuje, jak tuniska piękna służebna musiała pielgrzymką do Mekki zmywać swą hańbę: europejscy chlebodawcy zmusili ją bowiem do ukazania się gościom bez czarczafu, osłaniającego twarz. Od tego dnia biedna Fatma była jak wyklęta. Dopiero Mekka przywróciła jej prawo obywatelstwa między współziomkami. Ta sama zresztą Fatma najzupełniej beztrosko, zgodnie ze zwyczajami afrykańskiemi, spacerowała z obnażonemi piersiami i brzuchem — co przecież w oczach europejczyka było nieprzyzwoitością. Żadna europejka takby nie postąpiła".

— Pan chyba dawno nie był na żadnej modnej plaży? Cóż jeszcze może pokazać współczesna europejka po tem, do czego zdążyła przyzwyczaić oko widza?

„To prawda... Pani ma rację: niema ogólnej moralności — są tylko takie czy inne kanony obyczajowe. Może dlatego nie warto tak bardzo się niemi przejmować".

Co rzekłszy, rozmawiający powrócili do spraw niezawodnych i zawsze aktualnych: zajęli się znowu zaniedbanemi na chwilę cocktailami.

Lustucru.

CZY PANI WIE, ŻE...

... można samej zrobić w domu smaczny i niedrogi likier miętowy. Wziąć 100 gram. suszonej mięty pieprzowej (dostać można w aptekach i składach aptecznych) — zalać miętę 300 gramami mocnej wódki (na 75 stopni). Postawić w temperaturze pokojowej na pięć dni. Zlać, przecedzić, płyn przechować. Miętę zalać drugi raz taką samą ilością wódki, znów potrzymać 5 dni, poczem zlać i starannie przecedzić. (Cedzi się przez watę, nałożoną do lejka, jak tampon). Połączyć obie wódki i dodać do nich syrop, zrobiony ze 100 gram. cukru i 200 gram. wody.

Taki jest na ten likier przepis francuski. Likier będzie mało słodki.

Inny słodszy przepis — polski — brzmi tak: wziąć 40 gramów świeżej, świeżo zerwanej mięty pieprzowej — albo, jeżeli jej niema, to 28 gramów mięty suszonej. Zalać na 24 godziny, nie dłużej, szklanką czystego spirytusu. Zrobić syrop z 1 kila cukru w kawałkach i trzech szklanek wody. Gdy się cukier zagotuje, zdjąć rondel z ognia i wlewać natychmiast do syropu litr czystego spirytusu. Kiedy zaś wystygnie — wlać ów spirytus z mięty, bardzo dokładnie przecedzony przez gęsty muślin. Likier ten, gdy postoi 3 miesiące, jest doskonały, wcale nie ustępuje zagranicznym likierom, za które drogo płacimy. Powinien mieć śliczny zielony kolor, który mu nada sama świeża mięta. Jeżeli pragniemy mieć jeszcze zieleńszy, kupić należy w składzie aptecznym chlorofilu (kilka kropel) — ale zaznaczać trzeba, że ma to być chlorofil, który się rozpuszcza w spirytusie, gdyż istnieje gatunek chlorofilu, który rozpuszcza się tylko w tłuszczach.

■

.. rdzę ze stali i żelaza można doskonale wyczyścić. Zardzewiałe przedmioty należy natrzeć roztworem z 1 części kwasu siarkowego na 6 części wody i wyszczotkować je czystą wodą. Powtarzać tę czynność kilkakrotnie, dopóki rdza nie zejdzie całkowicie. Wkońcu polać dany przedmiot roztworem sody z wodą i wytrzeć na sucho proszkiem wapiennym.

■

...podobno można uratować potrawę przypaloną. Podaję przepis francuski, którego sama jeszcze nie wypróbowałam. Gdy się coś w rondlu przypali, zdjąć go natychmiast z ognia, nakryć pokrywką i trzymać pod kranem przez 10 minut. Poczem z rondla potrawę wyjąć, przełożyć do innego — no i jakoby smak jest uratowany. Spróbujmy. (Zaznaczyć należy naturalnie, że to co już przypalone i przywarło do dna rondla, należy uważać za stracone i do drugiego rondla nie przekładać).

■

...zaczynają się jesienne pluchy — a z niemi nieodłączny kaszel. Nie pozwólmy mu się rozpanoszyć. Proszę sprobować prostego i niewinnego środka: naparu na korzeniach żywokostu. W aptece lub składzie aptecznym kupić 100 gram. tego korzenia. Wrzucić czubatą łyżkę korzenia na małą miseczkę lub do rondelka, zalać dwiema szklankami wrzącej wody. Przykryć pokrywką, zostawić na sześć godzin. Przecedzić dokładnie i pić ten napar małemi ilościami, po parę łyków, przy napadach kaszlu. Skutek znakomity.

■

...soda — to w kuchni rzecz niezbędna. Mówimy o sodzie czyszczonej, którą się kupuje w składzie aptecznym, nie w mydlarni. Kiedy się gotuje zielona fasolka, szczypta sody, wrzucona do wody, przyśpieszy znakomicie ugotowanie tej jarzyny — a zatem oszczędzi nam czasu i ognia.

Przy ubijaniu białek na pianę — szczypta sody przyśpiesza ich ubicie i piana jest znacznie ściślejsza.

A każde ciasto będzie lżejsze i pulchniejsze, jeżeli do niego dodamy odrobinę sody czyszczonej.

Nie potrzebuję też chyba przypominać, że mleko podejrzane o to, że się może zwarzyć, można jeszcze uratować, przegotowując je ze szczyptą tejże sody.

■

...jeżeli nosek pani ma tendencję do czerwienienia się na wietrze, zastosujemy taką francuską receptę: przygotować mieszaninę z 100 gram. mleczka migdałowego, 2 gram. esencji królowej łąk i 3 gram. aspiryny. Potrząsnąć butelkę przed każdem użyciem i smarować nos tym płynem na wacie, przed wyjściem na zimny wiatr.

■

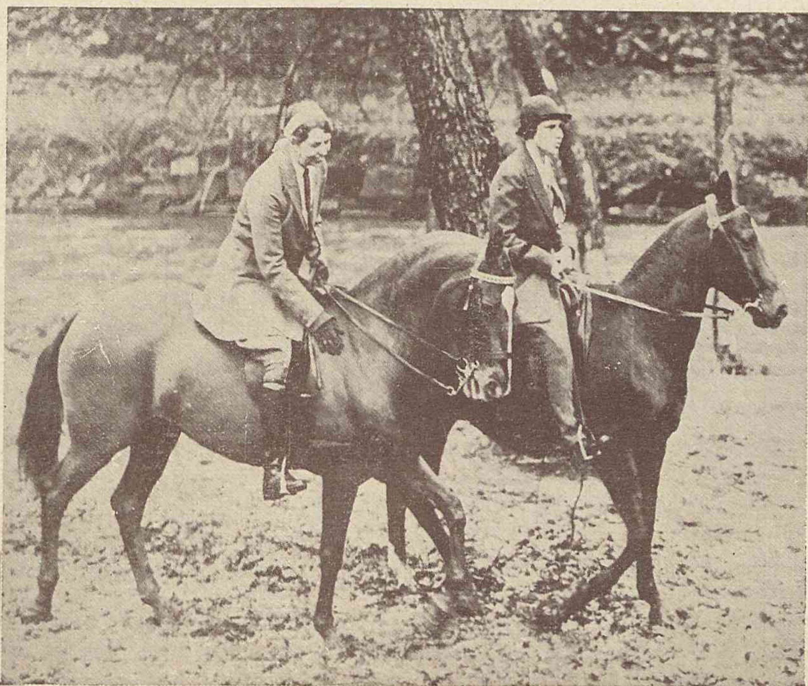
...płaczemy coraz rzadziej. I chwała Bogu. Wprawdzie zmartwień mamy coraz więcej — aleśmy się jakoś przyzwyczaiły inaczej na nie reagować, niż nasze babki. Jednak i nam, zahartowanym kobietom wieku XX-go zdarza się czasem popłakać. Co robić, jeżeli zaraz potem musimy się pokazać oczom ludzkim — zawsze niedyskretnym i ciekawym? Okłady naprzemian wody ciepłej i zimnej — oto jedyny sposób, by wszelkie ślady łez usunąć. Zakończymy je kąpielą oczu w wodzie różanej, w małej szklanej specjalnej wanience. Najżyczliwsza przyjaciółka nie pozna, że pani miała przed chwilą takie prawdziwe, duże zmartwienie.

■

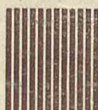
KOŃ I CZŁOWIEK NIEROZŁĄCZNI PRZYJACIELE



Mała Gretchen aż traci przytomność z zachwytu: po raz pierwszy siedzi na koniu.



Dalekie konne wycieczki za miasto — to jedyny sport, który daje sposobność korzystania z pięknych choć melancholji pełnych dni jesieni, gdy z drzew już spadają złociste liście.





Gra w polo należy do stałych ćwiczeń treningowych policji angielskiej.

SUSZA WYNISZCZA KRAJ

(KORESPONDENCJA WŁASNA „ŚWIATA" Z AMERYKI)

Wiosną bieżącego roku kontynent amerykański został nawiedzony tragiczną serją straszliwych powodzi. Ale wody opadły i w okresie, gdy wiosna ustępowała przed latem dała się odczuć susza bardziej jeszcze niszczycielska, niż pamiętna posucha w roku 1934. Po pladze wód, klęska suszy! Z pewnością winę za to ponosi przedewszystkiem przyroda. Ale człowiek, który ślepo używał i nadużywał bogactw naturalnych kontynentu północno - amerykańskiego jest za to również odpowiedzialny. Ogałacając z lasów wzgórza, które utrzymywały rzeki w ich łożyskach, otwierał bramy powodziom. Jednocześnie niszczono naturalne zbiorniki wody. Powodzie i posuchy są to dwa oblicza tych samych warunków geograficznych i meteorologicznych.

Rzućmy okiem na mapę topograficzną Stanów Zjednoczonych. Można ogólnie podzielić kraj na dwie części: z prawej płaszczyzna nadbrzeżna, stoki gór Apalachów, dorzecze Missisipi, a z drugiej strony rzeki łagodnie wznosząca się równina. Z lewej ląd wynurza się gwałtownie z Pacyfiku łańcuchami gór, spada w dolinę centralną Kalifornji, wdrapuje się na szczyty Sierra Nevada, opada znów ogromnem zlewiskiem, poczem wznosi się po raz trzeci aż do linji podziału kontynentu — Gór Skalistych — aby ześlizgnąć się wreszcie w rozległe równiny. Na zachód od Kansas znajduje się środek lądu, biegnący wzdłuż linji 100° południka. Jest to strefa o niesłychanej ważności zarówno dla sił przyrody, jak i dla ludzi Ameryki Północnej.

We wschodniej części Stanów Zjednoczonych zagadnieniem podstawowem jest sprawa nadmiaru wód, gdy jednocześnie zachód cierpi na katastrofalny brak zasobu wilgoci. Ze wszystkich deszczów, z całego śniegu, który spadnie na kontynent północno-amerykański dwie trzecie spływa na prawo — jedna trzecia na lewo. Na wschód od 100° południka poszukuje się środków, aby pozbyć się nadmiaru wód; na zachód natomiast czyni się wszelkie wysiłki, aby ją ściągnąć. Na wschodzie opracowuje się szerokie projekty osuszania bagien i podmokłych ziem; na zachodzie udoskonala się w miarę dostępnych środków systemy nawadniania nieurodzajnych gruntów. A jednak obie połacie kraju są złączone wstęgami licznych rzek: Missuri, Snake, Red River.

Ponad 1000 okręgów z ilości ogólnej 3.000 w całych Stanach Zjednoczonych znajduje się na liście terenów nawiedzonych katastrofalną suszą. Cztery Stany: Kansas, Oklahoma i dwie Dakoty nie mają jednego nawet okręgu nietkniętego. Administracja pomocy federalnej podaje, że będzie zmuszona udzielić zapomóg 150.000 rodzin, 400.000 rodzin otrzymało wsparcie od RP (admin. kolonizacji). W. P. A. (wydział robót publicznych) zatrudni 100.000 robotn. dla naprawy dróg, tam i t. p. A. A. A. (instytut przystosowania rolniczego) udzieli pożyczek w ziarnie siewnem wartości 10 miljonów dolarów i rozdzieli między poszkodowanych bydło i zwierzęta hodowlane łącznej wartości 30 miljonów dolarów. Nakoniec N. Y. A. (opieka nad młodzieżą) udzieli pomocy rodzicom, posiadającym dzieci w wieku szkolnym.

Jednak zniszczeni farmerzy mają trochę szczęścia w katastrofie: Prezydent Roosevelt i A. Landon, gubernator Kansas, starają się ulżyć doli nieszczęśliwych, spodziewając się, że osiągną przez to doniosłe korzyści w zbliżających się wyborach nowego prezydenta.

Oto jak donosi *New York Times:*

„Prezydent Roosevelt, nawet gdy przedsiębierze rzeczy proste, umie zawsze zaznaczyć swój w nich udział. Okazał to raz jeszcze obecnie, gdy przebywając to autem, to pociągiem wypalone słońcem pola i łąki, bada możliwości przeciwdziałania niszczącym następstwom straszliwej suszy.

Zresztą prezydenci, z samej ich roli, powinni odbywać podróże inspekcyjne po kraju. Ale ta po-

ATRAKCJA WYSTAWY METALOWEJ STÓŁ DO NAUKI WSTĘPNEJ SZOFERKI!

Duże zainteresowanie budzi na Wystawie stoisko firmy „Magnet".

Właściciel tej firmy p. Z. Popławski wystawił między innymi fabrykatami własnej produkcji specjalny stół do nauki operowania instalacją zapłonu, rozrusznika oraz oświetlenia samochodu. Stół ten, budzący duże zainteresowanie tak fachowców jak i laików, może służyć do wstępnej nauki szoferki.

dróż nie jest czczą formalnością. Prezydent Roosevelt postanowił zobaczyć sam, stwierdzić naocznie rozmiary klęski, nie zadawalając się raportami miejscowych władz i wymową fotografij.

W trakcie podróży prezydent osobiście rozmawia z ofiarami posuchy, zasięga rady uczonych, studjujących przyczyny klęski i sposoby zaradzenia im na przyszłość, bada wyniki studjów topograficznych i meteorologicznych, i potrafi zawsze znaleźć słowo, które przywraca nadzieję ofiarom żywiołu.

Chociaż Roosevelt zaznaczył, że jego podróż w tereny objęte zniszczeniem nie ma żadnego znaczenia politycznego — a jego szczerość jest wyższa od wszelkich wątpliwości — można w tem widzieć jedynie przykład jakim może świecić mąż stanu w sprawie publicznej.

Wartość wyborcza tej podróży — która nie została zresztą podjęta w celu wyborczym — na dwa miesiące zaledwie przed elekcją ogólnonarodową jest bezprzecznie ogromna, tem więcej, że każda gmina tych okolic otrzymuje pomoc rządową, a kredyty są szeroko udzielane wszystkim potrzebującym farmerom.

Według opublikowanych danych komitetu walki ze skutkami suszy, 80% ziem okolic nią dotkniętych nosi jeszcze ślady klęski. Będzie więc trzeba porzucić część, chociaż wszystkie osoby wysoko postawione, poczynając od samego prezydenta, twierdzą, że nikt nie będzie zmuszony opuścić swej ziemi, o ile tego sam nie zechce, i że naogół przesiedlenia będą ograniczone do ścisłego minimum.

Najbardziej dotknięte klęską są dwa stany Dakota: niema tam żadnej rośliny, żadnej zieloności, jedynie od czasu do czasu kępy spalonej trawy na wyżarzonej do głębi ziemi. Drogi są do tego stopnia zakurzone, że pasażerowie jadących za prezydentem aut widzieli przed sobą jedynie ruchomą chmurę kurzu.

Chociaż tegoroczna susza była o wiele ostrzejsza, niż klęska z r. 1934, sprawna i szybka organizacja pomocy pozwoliła w pewnym stopniu złagodzić jej ostrze. Zresztą środków żywnościowych narazie nie brak i nie należy obawiać się głodu.

Departament Rolnictwa przypuszcza, że globalny dochód za wyprodukowane w kraju płody rolne pozostanie na przewidzianym poziomie, gdyż susza zostanie okupiona zwyżką cen, z której skorzystają farmerzy innych okolic. Jest rzeczą możliwą, że obciąży się ich specjalnym podatkiem, z którego wpływy zostaną przeznaczone na pomoc dla poszkodowanych.

Tymczasem, jak donosi *Detroit Times:*

Gubernator Alfred Landon, kandydat republikanów na prezydenta Stanów Zjednoczonych, opracował szczegółowy plan przeznaczony do ulżenia losu ofiar straszliwej suszy tego lata. A. Landon przedstawi swój plan prezydentowi Roosevelt'owi, który zwołuje „konferencję w sprawie suszy".

Konkurent Roosevelta był jego gościem w pociągu prezydenckim wraz z gubernatorami Iowa, Nebraska, Missuri i Oklahoma. Jest to po raz pierwszy w historji Stanów Zjednoczonych, żeby dwaj kandydaci do fotelu prezydenta obiadowali wspólnie.

Gubernator Landon uważa, że problem suszy i pomocy poszkodowanym tą klęską, winien być odseparowany od polityki i umieszczony „na płaszczyźnie ogólno ludzkiej i twórczej".

W tym celu zmierzają wszystkie jego wysiłki.

Najbliższe miesiące przyniosą nazwisko szczęśliwego kandydata i być może efektywny wysiłek zażegna żywiołową klęskę.

J. Dawnson.





Marja Petrovics, węgierska tancerka występuje w dancingu Paradis w Warszawie.

MOSKWA WIDZIANA OCZYMA TURYSTY

Turyści podróżujący przyzwyczaili się do podobieństwa miast Europejskich między sobą. Miasta te, jak naprzykład Londyn i Paryż, Marsylja i Hamburg, Wenecja i Brugge posiadają wspólne cechy.

Moskwa jest miastem całkowicie odmiennem. Tysiące turystów z różnych krajów zwiedza nowoczesną Moskwę. Żaden szczegół nie ujdzie przenikliwemu wzrokowi turystów. Obserwują oni Moskwę z balkonów i okien hoteli, z chodników ulic, z aut, a nawet z aeroplanów, krążąc ponad nową stolicą.

Jest to zupełnie zrozumiałe, gdyż turysta pragnie nietylko widzieć, lecz także porównać i przekonać się.

Wiadomo wszystkim jak niski pod wszelkimi względami był niegdyś poziom kulturalny „prowincjonalnej" stolicy.

Obecnie zniknęły z centrum miasta (dawn. „Ochotnyj Riad") szeregi nędznych lepianek; miejsce ich zajęły dwa kolosy: hotel „Mossowieta" i Dom Pracy i Ochrony. Nowo budujące się domy winny posiadać nie mniej, niż 6 pięter i winny być urbanistycznie zharmonizowane z otoczeniem.

Pięknie przebudowany został plac Swerdłowa, na którym obecnie mieści się grupa miejskich teatrów moskiewskich: Wielki Teatr Akademicki ZSRR, Mały Teatr, Drugi Teatr Artystyczny.

Przed rewolucją Moskwa liczyła wszystkiego 9 teatrów, obecnie posiada 125 budynków teatralnych oraz około 50 kinoteatrów, mieszczących tysiące widzów.

Zniknął również mur dawn. „Kitaj-goroda" na placu Dzierżyńskiego. Obecnie wybudowany tu został jeden z najładniejszych bulwarów Moskwy ze stacją kolei podziemnej. Przebudowany został plac Sucharewski oraz plac Arbatski również posiadający stację kolei podziemnej.

Metropoliten — jest to duma nowoczesnej Moskwy. Tunel kolei podziemnej niewielkiej długości — 11,5 km. połączył ze sobą rozmaite okręgi i ulice Moskwy.

Brzegi Moskwy — rzeki zostały również całkowicie uregulowane. Po ukończeniu wielkiego kanału Wołga — Moskwa wybrzeża Moskwy zyskają jeszcze na malowniczości.

W ciągu ostatnich 4-ch lat inwestycje przemysłu moskiewskiego wyniosły 1,5 miljardów rubli. Wartość produkcji jednego tylko Stalińskiego okręgu Moskwy — obecnego centrum elektryfikacji i budowy maszyn — przewyższa wartość produkcji całego przemysłu Moskwy przed rewolucją.

Dumą Stalinskiego okręgu Moskwy — jest fabryka budowy maszyn LPSE oraz fabryka stali „Sierp i Młot". Specjalną opieką w okręgu tym otoczona jest fabryka aut im. Stalina, zatrudniająca jeszcze kilka lat temu tylko 900, a obecnie 28.000 robotników.

W ciągu 1934 r. fabryka ta wyprodukowała 20.436 maszyn. Wielkiem zwycięstwem przemysłu sowieckiego w dziedzinie budowy maszyn jest wybudowana niedawno fabryka łożysk kulkowych „Szarikopodszypnik" im. Kaganowicza.

Przed 183 laty założony został uniwersytet w Moskwie. W ciągu 157 lat powstało w Moskwie 18 wyższych zakładów naukowych. Obecnie Moskwa liczy 96 wyższych uczelni i 99 szkół technicznych z 150.000 armją studjujących.

Wszechzwiązkowa bibljoteka im. Lenina liczy 6,5 miljonów tomów i cieszy się wielką frekwencją. Nakład wydawanych książek, waha się nieraz od 50 do 100 tysięcy egz. Nakłady gazet moskiewskich sięgają kilku miljonów.

Szereg godnych zainteresowania objektów Moskwy uzupełniają odnowione ostatnio muzea, z których największe są: Galerja Tretjakowska, Muzeum Sztuk Pięknych oraz Muzeum Rewolucji.

Każdy turysta będąc w Moskwie, bezwątpienia zwiedzi Centralny Park Kultury i Wypoczynku.

Zamierzona obecnie przebudowa Moskwy uczyni ją jedną z największych stolic świata. Obecnie terytorjum Moskwy zajmuje 28,5 tys. ha, terytorjum to ma być zwiększone do 60.000 ha. Dokoła Moskwy buduje się pas parków i lasów szerokości do 10 km.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

ŚWIAT FILMU

BOHATERSKA ZAŁOGA LOPP'u W KINIE „STUDIO“



W ubiegły czwartek, bohaterowie przestworzy kpt. Janusz i por. Brenk w towarzystwie rodzin oraz wyższych oficerów lotnictwa, odwiedzili nowootwarte kino „Studio“. Po obejrzeniu filmu „Mayerling“ lotnicy podejmowani byli przez dyrekcję kina w salonach kawiarnianych lampką wina. Obecna na sali publiczność przy tej okazji obdarzyła miłych gości serdecznemi owacjami.

Człowiek, który stwarzał gwiazdy

Kilka lat temu cały Broadway był wypełniony nazwiskiem Ziegfielda i jego sławnych „Ziegfield Folies“. Jarzące reklamy neonowe, radio, prasa, wszelkie rodzaje propagandy roznosiły na wszystkie strony Stanów Zjednoczonych imię i sławę Ziegfielda i jego przedstawień.

Przy montowaniu tych rewij, Ziegfield był niesłychanie wymagający w doborze gwiazd i girls'ów. Lecz skoro zdarzyło mu się spotkać piękną kobietę, która wydawała mu się obdarzona talentem, nie przepuścił okazji, aby ją lansować. Zresztą jego wyczucie było niezawodne.

W swej staranności i drobiazgowości nie zaniedbał żadnego szczegółu. Oświetlenie, barwa, ton kostjumu, czy peruki girls'y były dlań równie godne zwrócenia całkowitej uwagi. Dzięki surowemu wyborowi osiągnął to, że stwarzał dzieła doskonałe — doskonałe nietylko dla gustu Ziegfielda — doskonałe według gustu Broadwayu, który — jak to często zaznaczał — był jego jedynym drogowskazem. Stworzył on w ten sposób pewną standaryzację urody kobiecej według ściśle określonego ideału doskonałości.

Jest rzeczą niewątpliwą, że Ziegfield wniósł wiele — bardzo wiele — do sztuki rewji muzycznej. Przybył on również do Europy — w szczególności do Francji — aby natchnąć się i zebrać materjały do nowych rewji, które stały się wydarzeniem wysoce artystycznem.

RECENZJE FILMOWE

„Żona czy sekretarka?"

Rialto

Ostatnie filmy amerykańskie, przynajmniej te, które docierają do Warszawy, wykazują stałą ewolucję, przystosowującą je do gustu europejskiej publiczności. Zostały stuszowane wszelkie drastyczne i niesmaczne sceny; położono większy nacisk na dobór scenarjusza, zarzucając typ standartowy i szukając pewnych nowych tematów. W wyniku otrzymano szereg filmów istotnie nowych, ciekawych, zastanawiających, a mimochodem — jak gdyby przy okazji — stworzono pewien nowy typ seryjny, który mimo szybkiej rozbieżności tematów, odtwarza codzienne życie amerykańskie bez istotnych zagadnień czy postulatów z lekkiem zabarwieniem komedjowem, a chwilami satyrycznem.

„Żona czy sekretarka?".

Ten „poważny dylemat" miał rozwiązać Van Stanhope, sympatyczny businessman amerykański, szef koncernu wydawniczego, przemiły Clark Gable. „Dylemat" dość codzienny jak na stosunki amerykańskie, uproszczone często do poziomu prymitywu.



Steffi Duna i Charles Collins w filmie kolorowym wytwórni RKO RADIO p. t. „Tańczący pirat".



Dorothy Lee w filmie RKO RADIO p. t. „Trudno jest łatwo zarobić".

Rozwiązał go istotnie. Może w sposób mniej sensacyjny, niż można się było spodziewać po tytule, zapowiadającym pozornie poważne zmaganie się wpływów i uprawnień dwóch najbliższych „szefowi" kobiet.

Stworzenie z dość błahego tematu interesującego filmu jest dużym sukcesem reżyserskim. Clarance Brown, operujący dużym zasobem ciekawych pomysłów, znanemi acz niezawodnemi trickami reżyserskiemi, wyczuciem tempa i humoru, podał nam ten wątek w sposób ciekawy, lekki, wesoły a jednocześnie naturalny. Trafna ocena sytuacyj i odczucie ich komizmu, powagi czy ważności charakteryzują pracę Browna i uwypuklają jego niezaprzeczone zdolności.

Zespół aktorski bez ciemnych plam. Clark Gable w odpowiadającej jego urodzie i temperamentowi roli nie sprawił zawodu. Grał szczerze i bezpretensjonalnie jak zawsze, okrasił sylwetkę businessmana wrodzonym humorem, był czułym i wiernym mężem i wymagającym, lecz miłym szefem.

Myrna Loy w swej roli podejrzliwej żony była może zbyt bezbarwna, mdła i bez jakiegokolwiek temperamentu i wyczucia humoru i komizmu. Zresztą, rola to niezbyt wdzięczna — trochę życia przydałoby się jednak bardzo.

Joan Harlow była fenomenalną sekretarką. Jej inteligencja i interesująca uroda znalazły wreszcie właściwą rolę. Joan Harlow — ideał platynowej blondynki — straciła szczęśliwie dawną często przesadną ordynarność i w roli idealnej zakochanej sekretarki była świetna. Jej ofiarność i służbistość były szczere, jej oddanie sprawom firmy i szefa — prawdziwe, jej wdzięk i prostota miłe i swobodne.

Przy beznagannej grze pozostałych wykonawców, wartkiem tempie i dobrych zdjęciach možnaby jedynie zarzucić nadmiar djalogów.

Nadprogramowa groteska kolorowa tejże Metro Goldwyn Mayer: „W starym młynie" z cyklu Happy Harmonies wyróżniała się urokiem malowniczości, wspaniałem opracowaniem muzycznem i niekłamanym humorem satyrycznej parodji. Stanowi ona mały poemacik.

Ciekawy tygodnik Pata i reportaż ze startu do zawodów o puhar Gordon - Bennetta, uzupełniają ten udany program.

J.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa